

WYWIAD

Natalia Kukulska:
Trzeba rozmawiać nawet
o trudnych rzeczach

STR. 14-15



SPORTOWY24

Kaja Ziomek-Nogal
wygrywa zawody Pucharu
Świata w łyżwiarstwie

STR. 23



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 2.12.2024
Nr 97 (2399)

Cena
5,50 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



NAWIGATOR

Prekampania
jest nielegalna,
a właśnie się toczy

Kampania prezydencka trwa w najlepsze: politycy jeżdżą po Polsce, urządzają konferencje prasowe, są aktywni w mediach społecznościowych. Przykłady? Rafał Trzaskowski, kandydat KO w wyborach prezydenckich, ruszył w sobotę na Śląsk. Tu na konferencji prasowej przed Areną Gliwice zaprosił na konwencję Koalicji Obywatelskiej, która odbędzie się dokładnie w tym mie-

scu za tydzień, 7 grudnia. Z kolei Karol Nawrocki, kandydat popierany przez Prawo i Sprawiedliwość, był w niedzielę na manifestacji przeciwko zmianom w edukacji, zaś w sobotę odwiedził Otwock. Sytuacja nie podoba się Państwowej Komisji Wyborczej, ale nie może nic z tym zrobić. „W obowiązującym stanie prawnym PKW nie ma uprawnień do podejmowania działań w spra-

wach związanych z ewentualnym prowadzeniem tzw. prekampanii wyborczej, która nie jest uregulowana w przepisach Kodeksu wyborczego. Komisja może jedynie apelować do uczestników życia publicznego o niepodejmowanie takich działań” - czytamy w oświadczeniu.
STR. 4



FOT. PAP/EPRA

Gruzini walczą o Europę

Gruzja wrze. W Tbilisi od czwartku trwają masowe protesty przeciwko decyzji rządu o zawieszeniu rozmów w sprawie przystąpienia kraju do Unii Europejskiej

STR. 5

W piątek magazyn Puls

● Syn poszedł w ślady ojca.
Michał Lew-Starowicz o tym,
jak wygląda seksualność
młodsze pokolenia

Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski”



ROSJA NIGDY NIE ODPUSZCZA

WTbilisi kolejna niespokojna noc. Od ubiegłego czwartku co wieczór odbywają się masowe protesty przeciwko prorosyjskiemu rządowi, który ogłosił zawieszenie do 2028 roku rozmów o wstąpieniu kraju do Unii Europejskiej. Coś nam to przypomina? Oczywiście ukraiński Euromajdan, zwany przez naszych sąsiadów Rewolucją Godności.

Tam prorosyjski prezydent Wiktor Janukowycz w listopadzie 2013 r. ogłosił, że nie podpisze umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Im bardziej brutalne wobec manifestujących były jednostki specjalne Berkut, tym liczba demonstrantów wzrastała.

Niebiańska sotnia, to 110 ofiar tamtych wydarzeń, których konsekwencją była ucieczka Janukowycza do Rosji w lutym 2014 r. i nowe wybory, które wygrał proeuropejski Petro Poroszenko.

Ale też w jakimś sensie konsekwencją tamtych wydarzeń była aneksja Krymu, a zaraz potem wojna w Donbasie.

W sprawie sytuacji w Gruzji już zabrał głos jeden z największych popleczników Putina, Dmitrij Miedwiediew, były prezydent Rosji. Wykiął „kolorową rewolucję” oraz poważnie obraził proeuropejską prezydentkę Salome Zurbiszwili (nazwał ją zresztą uczennicą Zbigniewa Brzezińskiego, co akurat obraża oczywiście nie jest). Chodzi o to, że Zurbiszwili zapowiedziała, że nie odda stanowiska prezydenta Gruzji, nawet jeśli tamtejszy parlament w połowie grudnia wybierze jej następcę, gdyż nie uznaje wyniku wyborów. Nie uznaje ich również reszta gruzińskiej opozycji i społeczność międzynarodowa ze względu na możliwość fałszerstw wyborczych. Czyli podobnie, jak na Białorusi.

Jak komentuje to Miedwiediew? „Nasi sąsiedzi szybko schodzą ukraińską ścieżką w ciemną otchłań. To zwykle kończy się bardzo źle” – napisał.

Wszystko jasne. Bo Rosja nigdy nie odpuszcza, gdy jakiś kraj, do którego rości ona sobie jakieś swoje wydumane prawa, próbuje się z tego uścisku wyzwolić.

Trzeba patrzeć na Gruzję z wielkim niepokojem.

”

Wszystko to, co tutaj robimy - i to będziemy robili także na granicy z Białorusią i Ukrainą – ma odstraszyć i zniechęcić ewentualnego agresora, w związku z czym to jest naprawdę inwestycja w pokój

Premier Donald Tusk podczas wizyty na budowie Tarczy Wschód

WISŁA, KARMICIELKA POLSKI. JAK JEJ NIE KOCHAĆ?

Wystarczy jeden rzut oka na mapę, żeby upewnić się, jak ważna jest dla Polski Wisła. Jej ogromne dorzecze (czyli teren, z którego woda spływa do Wisły i jej dopływów) w większości leży na terytorium Polski i pokrywa jej centralną i wschodnią część. Powierzchnia dorzecza Wisły na terenie Polski to 169 tys. km². To dużo, bo powierzchnia całej Polski to 313 tys. km², więc dorzecze Wisły to ponad połowa powierzchni naszego kraju! Wisła była karmicielką Polski, bo płody rolne wytwarzane w Polsce (i częściowo na Litwie) były Wisłą spławiane do Gdańska i stamtąd eksportowane do wielu krajów Europy, co było głównym źródłem bogactwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Od 1467 roku Wisła w całości należała do Polski i była najbardziej żeglowną rzeką Europy, wyprzedzając pod tym względem m.in. Ren, Dunaj, Rodan i Sekwanę. Ta gospodarcza rola Wisły skończyła się w 1772 roku wraz z pierwszym rozbiorem.

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



Minęły lata. Rola transportu rzeczno jest dziś minimalna. Ale Wisła nadal karmi Polskę wodą pitną (z wody rzecznej korzystają duże miasta położone nad rzeką: Kraków, Warszawa, Gdańsk) oraz tym, co najcenniejsze: czystą energią.

Nowoczesna gospodarka potrzebuje coraz więcej energii, a my w naszych domach także zużywamy jej coraz więcej. Tymczasem metody wytwarzania prądu w elektrowniach ciepłych spalających węgiel kamienny albo brunatny spotykają się z coraz większym sprzeciwem ekologów. Przyszłość musi należeć do odnawialnych źródeł energii: słońca, wiatru - i właśnie energii płynącej wody.

Generalnie w Polsce jesteśmy w bardzo złej sytuacji, jeśli idzie o hydroelektrownie. Narsze rzeki albo mają duży spadek

i płyną szybko (w górach), ale wtedy niosą niewiele wody i nie dają dużo energii. Albo niosą już sporo wody, ale płyną wolno przez płaskie, równinne tereny i też nie dają dużo energii.

Na tle tej ogólnie mizernej sytuacji Wisła i jej dorzecze dostarczają relatywnie dużo energii. Jest tych elektrowni w sumie aż 115, przy czym 12 z nich to są elektrownie duże, o mocy ponad 5 MW, 17 to elektrownie zaliczane do kategorii małych (moc od 1 do 5 MW), 25 jest elektrowni mini (moc od 0,3 do 1 MW) i aż 61 jest elektrowni zaliczanych do klasy mikro (poniżej 0,3 MW).

Najwięcej elektrowni na samej Wiśle i na jej dopływach mieści się w górnej części dorzecza Wisły, gdzie ona sama oraz zwłaszcza jej dopływy mają charakter rzek górskich.

Można tam zobaczyć łącznie 58 elektrowni, z reguły bardzo ładnie wkomponowanych w górski krajobraz. Zdecydowanie największa jest elektrownia Solina na rzece San, umiejscowiona w Bieszczadach. Daje ona 200 MW mocy i tworzy bardzo piękne jezioro zaporowe.

Wszystkie elektrownie zlokalizowane w dorzeczu Wisły mają łączną moc 694 MW i produkują średnio 1552 GWh energii. Żeby ocenić tę liczbę, przypomnijmy sobie, że jedno mieszkanie w mieście zużywa rocznie 1,7 MWh, a jedno gospodarstwo na wsi - 2 MWh. Więc ta energia, którą dostarcza Wisła, wystarcza na zaspokojenie potrzeb ponad 800 tysięcy rodzin!

Co dzięki temu dodatkowo zyskujemy?

Wisła pozwala nam rocznie zaoszczędzić nie mniej niż 745 tys. ton węgla. To duża oszczędność, a jeszcze ważniejsze jest to, że unikamy w ten sposób emisji ponad miliona ton CO₂, oszczędzając środowisko i unikając kar za wypuszczenie gazów cieplarnianych.

I jak tu Wisły nie kochać?

ZMĘCZONY I AMBITNY, CZYLI PRZEGLĄD RODZICÓW

Zmęczony: zawsze patrzy pod kątem do góry albo w dół, raczej nie na wprost. Kąciki jego ust ważą po 5 kg. Wzdycha nieustannie i co chwilę powtarza „no tak”, ewentualnie „wiem, no wiem”. Jego ulubione wakacje to łóżko, w którym tylko śpi. Ze sportów to uprawia spacer do bankomatu.

W sklepie opiera się o wózek, a po dotarciu autem do domu nie wysiada od razu, tylko siedzi dłuższą chwilę. Po osiągnięciu pełnoletności i ukończeniu studiów, dziecko Zmęczonego zmuszone jest zostać dyrektorem rady nadzorczej, bo wyniesione z domu leniwe wzorce uniemożliwiają podjęcie pracy w normalnych, etatowych godzinach.

Tadeusz Płatek
publicysta



Naukowiec: Wszystko jest dla niego proste, nie rozumie, co skomplikowanego może być w funkcjach czy rozbiórce logicznym zdania. W trakcie tłumaczenia jakie to banalne, popada w erudycyjne dygresje. Po osiągnięciu pełnoletności synek Naukowca zostaje duchownym, a córeczka wróżką, by realizować się zawodowo w obszarach, gdzie wszystko jest proste, jasne i logiczne.

Sportowiec: Codziennie wozi dziecko na mordercze treningi, a potem każe mu odrobić lekcje, w wyniku czego

ono zasypia. Sportowiec budzi więc potomka brutalnie, tłumacząc, że życie to jeden wielki mecz, który trzeba wygrać. Gdy spadkobierca dorosnie, zostaje alpinistą.

Rodzinny: W drodze jest już szóste dziecko, więc wychowywać je będą numer 2 i 3. Pierwsze już pracuje, a czwarte i piąte są za małe. Na szczęście zajmuje się nimi babcia. Rodzinny spędza czas na zakupach, w przychodniach i na wywiadówkach, czyli w miejscach, gdzie jego obecność jest niezbędna. Pasjonuje

się karawaniem, w bagażniku ma lodówkę, a pod fotel kierowcy trzyma poduszkę, ponieważ w aucie spędza cały swój rodzinny czas.

Ambitny: Wysyła dzieci na wszystkie możliwe konkursy artystyczne, po których zostają pamiątki w formie skserowanych dyplomów, gdzie tylko wpisuje się odpowiednią datę i miejsce. Ambitny wpaja gen rywalizacji, w wyniku czego dziatki popadają w depresję, przeżywają kryzys tożsamości, a w obliczu niespełnionych nadziei Ambitnego rezygnują z regularnej pracy nad sztuką i decydują się na tzw. „konceptualizm”, czyli w galeriach sztuki nowoczesnej rozbijają jajka na ścianie, coś tam pokrzykują, pochłapią farbą, by zgarnąć za to sówite granty ministerialne.

JAK KRAKOWSKI HYCEL PSY BAWIŁ

Od Zaduszek do Święta Niepodległości po końcowy akord powstania listopadowego biegnie polski listopad.

Po stłumieniu powstania Mikołaj I Romanow wróżył: „Nie wiem, czy będzie jeszcze kiedy jaka Polska, ale tego jestem pewien, że nie będzie już Polaków”. Cóż, minęło trochę lat i nie ma Romanowów, a Polacy są.

A listopad rzeczywiście dziwny. Miesiąc mgły. Lubię mgłę. Łagodzi kontury, odrealnia świat, przywraca sensy. Wychodzą z nor pamięci stare bajdy, a pومیerani ludzie wracają i snują po swoim.

Krakowskimi ulicami po własnych śladach drepce Karol Estreicher, a za nim tłumek zasłużonych Estreicherów z dziadkiem Karolem Józefem na czele.

Dziadka, a raczej dziadka pieska, wspominał Karol młodszy w „Nie od razu Kraków zbudowano”. Lektura dla seniorów i juniorów - i antidotum na listopadowy spleen. Opowieść to lekko nostalgiczna, ale przede wszystkim szalenie zabawna.

Liliana Sonik
publicystka



Na całe życie pozostaje w człowieku niechęć do władz, jeśli pozna je z nie-dobrej strony - stwierdza Estreicher i przechodzi do konkretu. Czyli opowieści o tym, jak brutalnie przerwany został rytuał smażenia konfitur z ostrężyn. Bo „po krakowsku ostrężyną nazywa się owoc do maliny podobny, a nie jeżyną, ani nawet nie ożyną...”

Miłość do domowych konfitur prowokuje Estreichera do żarliwej tyrawy: „wyzwolenie kobiety z trudów gospodarstwa domowego głoszą zwolennicy planowego dobrobytu przyszłości”. Jednak: „kobieta przy-

szłości umie jedynie rozciąć puszkę. Będzie wolna, rzeczowa i samodzielna, lecz pytam czy będzie szczęśliwsza?”

Uśmiechnijmy się, wracając do domu wypełnionego zapachem konfitur. Na Estreicherów niespodziewanie spada straszliwa wiadomość: miejski hycel złapał Dżimusia, czyli charcika należącego do dziadka - Karola starszego, szacownego dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej. Dżimus dnie spędzał na dyrektorskim biurku, a wieczory w teatralnej łóż, ponieważ autor Bibliografii Polskiej w teatrze był codziennie.

Słyszając o hycelu matka z małym Karolkiem ruszyli odbijać pieska, który znalazł się - jak sobie wyobrażano - w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Dorożkarz wprowadził pocieszal, że zabijane są tylko psy bardzo chore, ale nikt mu nie wie-

rzył. Tylko natychmiastowa interwencja w Magistracie mogła Dżimusia uratować. Strach ścisnął serca, bo „o Magistracie mówiono zawsze źle. Magistrat był winien drożyznie i temu, że było ciasno w tramwaju, i temu że było ślisko na ulicy. Jak u pani Mazakowej piał kogut przez 3 dni, kucharka powiedziała, że ci z Magistratu kazali go zarznąć”. A kiedy kuzyn Pol prosił o protekcję na posadę, „ojciec dał mu bilet polecający do Magistratu, bo taki niezadowolony, że się do innej roboty nie nadaje”.

Jednym słowem Magistratu bali się wszyscy, a znający życie dorożkarz radził: „niech pani profesorowa wali prosto do pana prezydenta! Nie ma co się po magistrackich biurach wycierać”.

Prezydent Leo serdecznie się przywitał, jednakże „odkąd stworzył Wielki Kraków sprawy psów przeszły do kompetencji wiceprezydenta Sarego”. Tam więc udała się dwuosobowa ekipa ratownicza. Mały Karol dedukował, że „wiceprezydent jest ważniejszą w Magistracie osobą od prezydenta, bo i tytuł ma dłuższy, i dłu-

żej czekać na niego trzeba”. W końcu ich poproszono, a wiceprezydent oznajmił, że „zrobi, co może dla pie-ska, więc daje kartkę do radcy Kopytkiewicza, bo jego wydziałowi podlegają oprawcy miejscy”.

W trudnym do odszukania gabinecie błada panna oznajmiła, że pan radca wyszedł służbowo na konferencję, ale wróci. A Karolek posłuchał, jak ktoś mówił, że Kopytkiewicz siedzi w restauracji u Hawelki.

Kiedy radca wrócił, uznał, że jest „po godzinach przy-jęć, a sprawa nie jest tak prosta, jak się panom prezydentom wydaje, bo są przepisy i regulamin”. Wpierw trzeba podatek od Dżimusia opłacić. Nic to, że był zapłacony, bo pani profesorowa kwitka nie ma, ani zaświadczenia o badaniach weterynaryjnych. Radca polecił wypełnić kwestionariusz, a on ze

względem na obu prezydentów postara się sprawę załatwić szybko, może nawet w tydzień.

Karolka ogarnęła czarna rozpacz, bo wizja Dżimusia mordowanego przez oprawcę bardzo się urealniła.

A wtedy zza zakrętu korytarza wyłonił się kuzyn Pol, ten sam, któremu ojciec robotę załatwił. Wysłuchał opowieści, formularz wyrzucił i za chwilę wrócił z nakazem wydania psa.

Miejski Zakład dla Psów przy Lubicz miał ogród, a w nim hasały psy rozmaite. W klatkach była słoma, woda i jedzenie, a oprawca Wyzimucha psy głąskał. Dżimus wykąpany i rozhasany wcale nie miał ochoty zbierać się do domu. A hycel tłumaczył, że byłby charcika pani profesorowej odprowadził, tylko przytrzymał go z suczką hrabiny Tarnowskiej, żeby im było razem wesoło. Żadnego papierka z Magistratu nie było potrzeba.

I tak hycel oprawca okazał się miłośnikiem zwierząt, straszny zakład - przyjaznym azylem, a Magistrat - Magistratem.

Magistrat był winien drożyznie i temu, że było ciasno w tramwaju, i temu, że było ślisko na ulicy

REKLAMA

JEDZENIE I SZTUKA
FOKSAL11
SHOW & DINING
POWERED BY
TEATR CAPITOL

Sylwester
2024/25

Po spektaklu
impreza sylwestrowa z DJ-em!

KUP BILET WWW.FOKSAL11.PL

WES
ELL

FOKSAL 11
START GODZ. 20:30

Patroni Medialni: RMF MAXX, onet, RZECZPOSPOLITA, TeleTydzień, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd, Gatta, Zapato, Obag, kicket, AKTYWNA WARSZAWA, STREFA MUSIC, mza, UNIA TEATRÓW NIEZALEŻNYCH

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

PREKAMPANIA. NIELEGALNA, A I TAK SIĘ TOCZY

Kampania prezydencka trwa w najlepsze: politycy jeżdżą po Polsce, urządzają konferencje prasowe, są aktywni w mediach społecznościowych. I choć zdaniem PKW, „jest to powszechnie odbierane jako obejście prawa”, to nic nie może z tym zrobić

Dorota Kowalska

Choć kampania prezydencka formalnie jeszcze się nie rozpoczęła, trwa w najlepsze. Przykłady? Weźmy taką sobotę. Rafał Trzaskowski, kandydat KO w wyborach prezydenckich ruszył na Śląsk. Tu na konferencji prasowej przed Areną Gliwice zaprosił na konwencję Koalicji Obywatelskiej, która odbędzie się w dokładnie tym miejscu za tydzień, 7 grudnia.

Trzaskowski zdradził, że na konwencji będzie mowa „o tym, co najważniejsze”, czyli o tym, „jak Polska się powinna zmieniać, jak zaplanować tę drogę, która nas doprowadzi do zwycięstwa, jak dokonać tego kolejnego kroku na drodze do wzmacniania demokracji, jak wybrać prezydenta, który będzie w pełni demokratyczny, w pełni niezależny, który będzie się wykazywał inicjatywą i - co najważniejsze - będzie charakteryzował się doświadczeniem”.

- To doświadczenie jest bardzo ważne. Dzisiaj w polskiej polityce powinno być tak, że to prezydent wnosi całe swoje doświadczenie do Pałacu Prezydenckiego, a nie dopiero musi się uczyć wszystkiego, będąc już w tym pałacu - stwierdził Trzaskowski wbijając tym samym szpilę Karolowi Nawrockiemu, kandydatowi obywatelskiemu zgłoszonemu przez PiS, który doświadczenia politycznego nie ma, nigdy nie wypowiadał się w sprawach chociażby polityki zagranicznej, czy bezpieczeństwa.

- Te wybory mają dla nas bardzo, bardzo duże znaczenie dlatego, że nie chcemy trzeciej kadencji Andrzeja Dudy ani nikogo, kto jest w pełni zależny od prezesa Kaczyńskiego. Chcemy tutaj zaprosić wszystkich, dla których kwestia demokracji jest bardzo ważna - mówił Trzaskowski.

Poinformował, że szefową jego sztabu będzie Wioletta Paprocka, z którą od wielu lat współpracuje i która - jak zaznaczył - w pełni przyczyniła się i była jedną z architektów sukcesu 15 października. Zapraszał też do szerokiego wsparcia KO w kampanii.

- Bardzo nam zależy, żeby znowu mieć taką samą energię, jak w 2020 roku, jak w 2023 roku - wyjaśniał.

Pytany, czy jego zdaniem Karol Nawrocki wykorzystuje IPN w kampanii oraz o apel opozycjonistów z czasów PRL, aby tego nie robił, kandydat KO odpowiedział, że podpisuje się pod tym apelem. - Dlatego, że prawo stanowi w Polsce, że prezes IPN-u powinien być osobą niezależną i branie udziału w kampanii wyborczej jako, nie oszukujemy się, kandydat PiS-u po prostu przeczy polskiemu prawu - ocenił. - Dlatego uważam, że pan prezes powinien przestać pełnić tę funkcję w momencie, kiedy rozpocznie się kampania wyborcza - zadeklarował dodając, że prezydent Warszawy nie musi być niezależny politycznie, natomiast prezes IPN taki powinien być.

Wygląda na to, że ta kampania będzie długa i brutalna, kandydaci mogą więc dostać zadyszki. Trzaskowski zapewnił jednak, że w jego przypadku takiego niebezpieczeństwa nie ma, jest zaprawiony w bojach, bo już w swojej pierwszej kampanii warszawskiej w 2018 roku prowadził prekampanię, później kampanię przez 11 miesięcy, więc, tak twierdził, jest przyzwyczajony do intensywnej pracy.

Także w sobotę, Rada Polityczna Prawa i Sprawiedliwości zdecydowała: Karol Nawrocki w przyszłorocznych wyborach prezydenckich wystartuje z poparciem PiS.

- Jestem gotowy i zdeterminowany, aby moim głównym wyzwaniem była przyszłość RP, przyszłość Polski bezpiecznej i suwerennej - zadeklarował w swoim wystąpieniu prezes Instytutu Pamięci Narodowej.

On też rozpoczął już swój objazd po Polsce. W czwartek był we Wrześni, wcześniej we Włoszczowie, ale co ciekawe niezbyt chętnie odpowiada na pytania dziennikarzy. W każdym razie jego środowiska konferencja pod Sejmem wyglądała dość groteskowo. Nawrocki chciał rozmawiać wyłącznie o CPK, unikał pytań dziennikarzy na inne tematy, a zapytany o słowa Jarosława Kaczyńskiego o „włazy okupacyjnej w Polsce” stwierdził, że „nie zna cytatu”. Kilka razy z pomocą ruszał mu poseł PiS Marcin Horała, ale koniec końców Nawrocki przerwał



W ten weekend Rafał Trzaskowski był w Gliwicach. Inni kandydaci też jeździli po Polsce, np. Karol Nawrocki był w Otwocku

briefing i skierował się w stronę do samochodu.

Za to w mediach społecznościowych zadeklarował, że z dniem zarządzenia przez marszałka Sejmu wyborów prezydenckich - co ma nastąpić 8 stycznia - pójdzie na urlop w Instytucie. O podobną deklarację zaapelował do konkurentów: Rafała Trzaskowskiego i Szymona Hołowni.

- Od polityka trudno wymagać, by wziął urlop, zwłaszcza, gdy pełni funkcję wpisaną w konstytucję - odpowiedział mu marszałek Sejmu Szymon Hołownia, kandydat w wyborach prezydenckich. Hołownia przyznał jednak, że mogą pojawić się sytuacje, kiedy będzie zmuszony wziąć wolne. Wówczas swoje obowiązki najpewniej przekaże wicemarszałkowi Sejmu Piotrowi Zgorzelskiemu (PSL). Według Hołowni prowadzenie kampanii będzie dla niego trudniejsze, ponieważ będzie musiał co dwa tygodnie spędzić kilka dni w Sejmie, podczas gdy inni w tym czasie będą walczyć o głosy wyborców.

A co do Karola Nawrockiego, marszałek podkreślił, że osoba pełniąca funkcję szefa IPN powinna być, zgodnie z ustawą, apolityczna. Dodał, że „marszałek Sejmu z definicji jest osobą polityczną”.

Zdaniem Hołowni Nawrocki nie tylko powinien wziąć urlop, ale w ogóle zrezygnować z tej pracy. - On (Nawrocki) nie gra w tej samej piaskownicy, w tej samej grze, na tych samych za-

sadach, na których politycy startujący w tych wyborach - ocenił polityk.

Jak widać, kampania trwa w najlepsze: politycy jeżdżą po Polsce, urządzają konferencje prasowe, są aktywni w mediach społecznościowych.

Państwowa Komisja Wyborcza - zapytana przez PAP - przypomniła swoje stanowisko z minionego roku, podjęte w analogicznej sytuacji, jaką była prekampania przed wyborami parlamentarnymi.

„Działania o charakterze agitacji wyborczej podjęte przed zarządzeniem wyborów naruszają zasadę równości kandydatów i komitetów wyborczych, są sprzeczne z zasadami dobrze pojmowanej kultury politycznej i są powszechnie odbierane jako obejście prawa m.in. przez osoby fizyczne promujące się w ten sposób” - napisała Komisja.

PKW zwróciła jednocześnie uwagę, że przepisy Kodeksu wyborczego dotyczące kampanii wyborczej i jej finansowania dotyczą jedynie okresu od zarządzenia wyborów, a więc wcześniejsze działania podejmowane przez podmioty lub osoby fizyczne zainteresowane udziałem w wyborach nie są objęte tymi przepisami.

„W obowiązującym stanie prawnym PKW nie ma uprawnień do podejmowania działań w sprawach związanych z ewentualnym prowadzeniem tzw. prekampanii wyborczej, która nie jest uregulowana

w przepisach Kodeksu wyborczego. Komisja może jedynie apelować do uczestników życia publicznego o niepodjęwanie takich działań” - zaznaczono.

- Wszystko, co dzieje się teraz, przed momentem opublikowania zarządzenia marszałka Sejmu, pozostaje poza sferą zainteresowania Państwowej Komisji Wyborczej - stwierdził w rozmowie z PAP Ryszard Kalisz, prawnik, członek PKW.

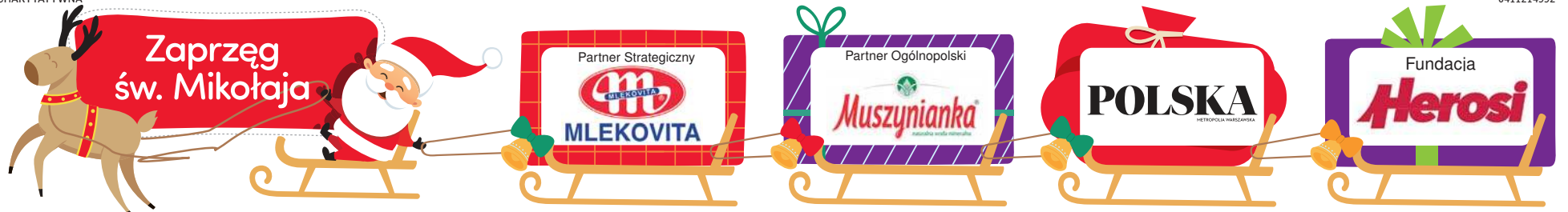
Zwrócił jednocześnie uwagę, że uregulowanie prekampanii w przepisach to zadanie dla ustawodawcy, ale sprawa jest skomplikowana.

- Ile ona miałaby trwać? Trzy miesiące przed wyborami, dwa, czy miesiąc? Niektórzy mówią, w kategoriach politologicznych, że kolejna kampania zaczyna się po zakończeniu wyborów - tłumaczył Kalisz. I dodał, że politykom nie zależy, by prekampanię uregulować, bo to ograniczałoby ich i ich partię.

Zgodnie z zapowiedziami marszałka Sejmu Szymona Hołowni, wybory prezydenckie zostaną zarządzane 8 stycznia i muszą odbyć się w jedną z trzech majowych niedziel: 4, 11 lub 18 maja 2025 roku. Do tej pory start w wyborach zapowiedzieli: Rafał Trzaskowski (Koalicja Obywatelska), Karol Nawrocki (z poparciem PiS), Szymon Hołownia (Polska 2050), Sławomir Mentzen (Konfederacja) i Marek Jakubiak (Wolni Republikańscy).

PAP

AKCJA CHARYTATYWNA



0411214992

UKRAIŃSKI SCENARIUSZ W GRUZJI?

W stolicy Gruzji kolejny dzień trwają masowe protesty przeciwko decyzji rządu o zawieszeniu rozmów w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej

Grzegorz Kuczyński

Tysiące osób uczestniczyły w antyrządowych protestach w nocy z piątku na sobotę na alei Rustawelego w centrum stolicy Gruzji, Tbilisi. Protestujący wyszli w piątek na ulice drugi dzień z rzędu po tym, jak premier Irakli Kobachidze powiedział, że jego rząd zawiesza rozmowy akcesyjne z UE i odrzuci dotacje budżetowe z Brukseli „do końca 2028 roku”.

Starcia w centrum Tbilisi

Demonstranci obiegli gruziński parlament, niektórzy próbowali sforsować metalowe ogrodzenie wokół budynku. Policja użyła armatek wodnych, aby odepchnąć ludzi, a później zmusić ich do cofnięcia się wzdłuż alei Rustawelego, zamkniętej dla ruchu i otoczonej przez wozy policyjne. Demonstranci wykorzystali kosze na śmieci, ławki oraz elektryczne hulajnogi do bu-

dowy barykad. Na całej ulicy paliły się ogniska, powiewały europejskie i gruzińskie flagi.

Nad ranem policja zepchnęła protestujących z okoliczności metra w dół alei Rustawelego i otoczyła ich kordonem. Funkcjonariusze w brutalny sposób dokonywali zatrzymań, niektórzy uczestnicy byli bici, kopani, szarpani. Według relacji gruzińskiej telewizji Formula TV wielu demonstrantów zostało rannych, niektórzy wymagali pomocy lekarskiej. Przed wschodem słońca policja usunęła barykady, a straż pożarna ugasiła ogniska.

Starcia między policją a protestującymi wybuchły w nocy również w portowym mieście Batumi nad Morzem Czarnym oraz w Kutaisi na zachodzie Gruzji. MSW podało w sobotę, że w trakcie nocnych demonstracji w Tbilisi zatrzymano 107 osób. Od czwartku w stolicy kraju zatrzymano łącznie 150, a w Batumi 10 protestujących.

Prezydent Salome Zurbiszwili, potępiła „brutalne i nieproporcjonalne ataki na gruziń-



FOT. PAP/PEPA

W sobotnią noc zamaskowani policjanci strzelali gumowymi kulami i brutalnie bili protestujących

ski naród i media”, porównując represje do „represji w rosyjskim stylu”. „Te działania nie zostaną wybaczone! Osoby odpowiedzialne za użycie siły powinny zostać pociągnięte do odpowie-

dzialności” - napisała na X. Ponad 100 urzędników MSZ Gruzji potępiło wstrzymanie przez rząd rozmów o członkostwie w UE, twierdząc, że narusza to konstytucję, która zobowiązuje do dą-

żenia do członkostwa w UE, po tym, jak siły bezpieczeństwa brutalnie rozprędyły w czwartek protestujących i dziennikarzy na wiecu w Tbilisi.

Ponad 30 osób zostało hospitalizowanych po tym, jak policja użyła gazu łzawiącego, armatek wodnych i pobiła wielu demonstrantów. Zamaskowani policjanci strzelali gumowymi kulami i brutalnie bili protestujących i dziennikarzy.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poinformowało, że 43 osoby zostały aresztowane „w wyniku nielegalnych i gwałtownych działań” podczas pierwszej nocy protestów z czwartku na piątek, podczas gdy parlament podniósł poziom bezpieczeństwa do maksymalnego - wprowadzając kod czerwony.

Rząd Gruzji kontra UE

Wygrana prorosyjskiej partii Gruzjińskie Marzenie w wyborach parlamentarnych 26 października, które były postrzegane jako referendum w sprawie przystąpienia Gruzji do Unii, wy-

wołała masowe protesty opozycji. 30 października Komisja Europejska poinformowała o zawieszeniu procesu akcesyjnego z Gruzją i zapowiedziała, że nie zaleci przywrócenia go, jeśli władze w Tbilisi nie zaczną przestrzegać unijnych wartości, w tym nie wyjaśnią nieprawidłowości podczas wyborów. W czwartek premier Irakli Kobachidze oznajmił, że Gruzja sama zawiesza do 2028 r. rozmowy o członkostwie w UE.

Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą do przeprowadzenia nowych wyborów parlamentarnych w Gruzji i nałożenia sankcji na partię Gruzjińskie Marzenie.

Sytuacja w Gruzji przypomina ukraiński Euromajdan, kiedy prorosyjski prezydent Wiktor Janukowycz wycofał się z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Po brutalnej próbie stłumienia protestów w lutym 2014 r. Janukowycz uciekł do Rosji, a w Ukrainie odbyły się wybory, które wygrał Petro Poroszenko.

MATERIAŁ INFORMACYJNY NARODOWEGO INSTYTUTU WOLNOŚCI

0011217474

Ponad 120 mln zł dla organizacji pozarządowych.

Ruszył nabór w ramach programów NIW-CRSO

Przejrzyste, sprawiedliwe, uproszczone procedury i większa dostępność wsparcia dla wszystkich organizacji pozarządowych. Narodowy Instytut Wolności rozpoczął nabór wniosków w ramach rządowych programów dotacyjnych PROO i NOWEFIO, edycja 2025. Dzięki zmianom w regulaminach zasady przyznawania środków będą transparentne i równe dla wszystkich NGO.

Organizacje pozarządowe oraz inne instytucje prowadzące działalność pożytku publicznego mogą wziąć udział w konkursach ogłoszonych w ramach edycji 2025 Rządowego Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO oraz Rządowego Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich PROO. Dzięki nim społecznicy dostaną wsparcie na rozwój swoich organizacji i działań, które realizują. W puli konkursu jest w sumie ponad **120 milionów złotych**, które NGO mogą wykorzystać na różne aktywności. Termin składania wniosków upłyne 10 grudnia. Oprócz konkursów w ramach edycji 2025, orga-

nizacje realizować będą także projekty wieloletnie. W sumie NIW-CRSO przekaże w przyszłym roku ponad 220 mln zł rządowego wsparcia dla organizacji pozarządowych.

– Spełniamy nasze obietnice. Procedura konkursowa jest transparentna, środki dostępne dla szerokiego grona organizacji, a zasady sprawiedliwe. Regulaminy konkursów nie pozwolą na żadną ingerencję w wyniki, poza merytoryczną oceną ekspertów. Ogłaszamy dwa konkursy – PROO na rozwój instytucjonalny organizacji i NOWEFIO, w ramach którego stowarzyszenia i fundacje mogą realizować dziesiątki różnego rodzaju działań – mówi Michał Braun, dyrektor NIW-CRSO.

W rządzie Donalda Tuska po raz pierwszy utworzono urząd ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego. Od niedawna funkcję tę pełni Adriana Porowska, które przez dziesięć lat związana była z Kamilią Misją Pomocy Społecznej. Na dorocznej konferencji Instytutu tak mówiła o sile III

Sektora: „Naszą rolą jest m.in. edukowanie i pokazywanie ludziom, że sprawczość jest w ich rękach. Kto jak nie organizacje pozarządowe i ludzie działający na ich rzecz widzą to najlepiej i mogą działać? Szukajcie NGO w swojej okolicy i budujcie sojusze. Te sojusze mogą wspólnie występować do władz lokalnych i pokazywać: słuchajcie, jesteśmy. Nie tylko po to, aby korzystać z pieniędzy i wykonywać usługi, które są zadaniami własnymi gminy. Ale po to, by pokazywać kierunki, by ściągać często niemałe pieniądze do samorządów i pokazywać innowacyjne rozwiązania, które łączą”.

Narodowy Instytut Wolności ma odpowiadać na potrzeby III Sektora. Regulaminy PROO i NOWEFIO zostały zmienione, tak by zwiększyć dostępność wsparcia dla wszystkich organizacji – zarówno tych małych, jak i dużych. Co ważne, nad prawidłowością przebiegu konkursów czuwa także Rada NIW, która po raz pierwszy składa się w większości z przedstawicieli sektora pozarządowego.

Program PROO pozwala organizacjom budować potencjał i uniezależniać się od środków publicznych. Mogą one w ramach projektów inwestować w strategię rozwoju, fundraising, finansować zatrudnienie, kupować sprzęt, dofinansować zakup samochodu czy lokalu potrzebnego na prowadzenie działalności. Większość wsparcia kierowana jest do ogółu organizacji, ale dodatkowe ścieżki finansowania trafiają do think-tanków, watchdogów oraz mediów obywatelskich. PROO oferuje także szybkie granty „kryzysowe”, np. na naprawę sprzętu czy remont zalanego biura. Są też środki pozwalające na udział przedstawicieli polskich NGO w wydarzeniach w kraju i za granicą.

NOWEFIO jest najstarszym tego typu programem w Polsce. Działa już prawie 20 lat. Fundusz Inicjatyw Obywatelskich to środki na praktycznie wszystkie rodzaje aktywności. Finansowane są z niego działania edukacyjne, kulturalne, sportowe i wiele innych. Specjalna ścieżka Programu przeznaczona jest na wspieranie partycypacji społecznej

oraz na budowanie sieci organizacji pozarządowych.

Zmiany w regulaminach poprzedziły konsultacje z przedstawicielami organizacji. Są odpowiedzią na ich potrzeby. Na stronie internetowej NIW-CRSO dostępny jest szczegółowy raport z propozycjami zgłaszanymi przez społeczników.

Główne zmiany w regulaminach edycji 2025 programów to:

- Wprowadzenie transparentnych zasad naboru ekspertów oceniających wnioski i procedur zapobiegających ingerencji w wyniki konkursów.
- Podział funduszy na środki przeznaczone na rozwój małych, średnich i dużych organizacji – dzięki temu młode NGO nie będą już musiały konkurować z doświadczonymi organizacjami, a dotacje będą dostosowane do ich potrzeb (Program PROO).
- Dodatkowe punkty dla organizacji, które do tej pory nie korzystały ze środków PROO.
- Programy wspierania mediów obywatelskich, organizacji strażniczych i think-tanków kierowane będą do organizacji, które faktycznie

prowadzą taką działalność (min. 12 miesięcy).

- Szersze możliwości aplikowania o wkłady własne do projektów międzynarodowych – aż cztery nabory rocznie.

- Zwiększenie maksymalnej dotacji na pomoc doraźną dla organizacji w przypadku np. zniszczenia sprzętu czy zalania biura – do 20.000 zł w każdej ścieżce PROO.

- Umożliwienie organizacjom finansowania udziału w wielu wydarzeniach krajowych i międzynarodowych, a także opłacania składek w organizacjach zagranicznych.

– **Ruszymy z dużą kampanią informacyjną na temat regulaminów konkursów, będziemy we wszystkich województwach. Zachęcamy do zapraszania nas do swoich miejscowości. NIW przeprowadzi także szereg webinarów. Działalność specjalna infolinia – mówi Adela Gąsiorowska, zastępca dyrektora Narodowego Instytutu Wolności.**

Szczegóły dotyczące naboru oraz harmonogram spotkań w regionach można znaleźć na stronie internetowej NIW-CRSO: www.niw.gov.pl



Prof. Łukasz Scheffs: Wygrywają w polityce ci, którzy mają świadomą strategię, a nie ci, którzy działają od przypadku do przypadku

Kontrowersje dają zasięgi, ale nie głosy

Samymi mediami społecznościowymi nie da się wygrać wyborów. Ale na pewno zbliżają do zwycięstwa. O tym rozmawiamy z prof. UAM dr hab. Łukaszem Scheffsem

Paweł Antuchowski

Czy profilami w mediach społecznościowych wygrywa się wybory?

Z pewnością media społecznościowe stanowią istotny element wzmacniający kampanijny przekaz. Im mniejsza jest społeczność, tym waga i znaczenie mediów społecznościowych jest większa. Wiem to chociażby z własnego doświadczenia kilkunastotysięcznej gminy. Tam wyborcy chyba dopiero odkryli media społecznościowe, przede wszystkim Facebooka. Kiedy tymczasem w trendach ogólnoniwiatowych traci on na znaczeniu.

Czyli na poziomie mniejszych ośrodków, Facebook dopiero teraz zyskuje znaczenie?

Można tak powiedzieć. W przypadku mojej małej gminy, myślę o społeczności na poziomie 13 tys. mieszkańców, brak jest mediów lokalnych albo jest ich niewiele.

W związku z tym nie ma podstawowego pasa transmisyjnego demokracji jakim są media i dziennikarze. Mieszkańcy chcąc się zorientować przed podjęciem decyzji na kogo i dlaczego zgłoszą, szukają informacji. Wtedy naturalnym źródłem stają się media społecznościowe, o ile lokalni politycy pretendujący do różnych stanowisk takie media prowadzą. Bo to nadal nie jest standard. Tak samo jakość tych mediów jest różna, zarówno jeśli chodzi o ich przygotowanie, jak i sam sposób prowadzenia.

To jaka powinna być jakość i standard tych mediów?

Przed wszystkim powinna być dostosowana do profilu naszego elektoratu, czy poszczególnych grup z tego elektoratu. Znow z własnych obserwacji mogę powiedzieć, że istnieją profile, które mnie śmieszą zarówno formą, jak

i treścią. Uważam, że są słabe, źle prowadzone, publikowane w nich treści nie pojawiają się z taką intensywnością jak powinny, a mimo wszystko działają. Wynika z tego, że jest segment wyborców, któremu ta forma odpowiada, więc tak naprawdę konkretnego standardu nie ma. Oczywiście im większa jednostka samorządu terytorialnego, tym stopień profesjonalizacji obsługi prowadzenia mediów społecznościowych wzrasta, bo musi, bo zmienia się oczekiwanie potencjalnych grup wyborców.

A jeżeli chodzi o duże ośrodki, gdzie rynek mediów jest w miarę rozwinięty, jak w Poznaniu, media społecznościowe nie odgrywają aż tak dużej roli, czy odgrywają, ale pod tymi warunkami, które pan wymienił?

Właśnie wtedy tych mediów społecznościowych musi być więcej. Sam Facebook nie wy-

starcza, więc pojawia się kwestia Instagrama czy portalu X (dawniej Twitter - dop. red.). Musi być tych kanałów dystrybucji treści więcej i muszą być prowadzone bardziej profesjonalnie, albo bardziej czystnie. Podejrzewam, że sami dziennikarze z nich korzystają. Jeżeli nie jako źródło do tworzenia materiałów czy relacji, to na pewno inspiracji do tego, żeby takie materiały powstawały.

Czyli wtedy media społecznościowe stają się furtką, dzięki której częściej się bywa w mediach tradycyjnych?

One stanowią ich uzupełnienie, ale bardzo często są także sygnałem, że „jestem tu, zwróćcie na mnie uwagę, mam coś ciekawego, coś nieoczywistego do przekazania”. Dzisiejszy świat polityki, także za sprawą mediów społecznościowych, ale i te media społecznościowe to generują, że polityk musi być wyrazisty. Różni politycy różnie rozumieją wyrazistość albo różnie na nią stawiają. Są tacy, którzy wrzucają jakiś ciekawy wpis, a są tacy, którzy wrzucają kontrowersyjne treści. W myśl zasady - nieważne, co o nas mówią, ważne, żeby nazwiska nie przekreślali.

A pan by stawiał na treści kontrowersyjne, z punktu widzenia zasięgu, czy użyteczne dla obserwujących?

Prowadząc własne media społecznościowe staram się, żeby to były treści dopasowane do mnie. Nie chcę powiedzieć, że mój Facebook to jest cała prawda o mnie, natomiast myśląc sobie pewną postać, którą mam do zagrania - to źle brzmi, ale będę brnął w tę metaforę - czyli Łukasz Scheffs jako samorządowiec, radny powiatowy, aktualny wicestarosta, snuję pewną opowieść w mediach społecznościowych, czy w ogóle publicznie. Staram się, żeby ta moja opowieść korespondowała z rolą i sposobem, w jaki ją odtwarzam w rzeczywistości. Ale to są media społecznościowe przede wszystkim samorządowca, trochę nauczyciela akademickiego, od czasu do czasu ojca. Natomiast staram się, żeby to się działo z umiarem. Na kontrowersje nie stawiam, ale także z tego powodu, że wywodzę się z niewielkiego środowiska, gdzie kontrowersja nie jest na dłuższą metę dobrze widziana.

Czyli w Poznaniu kontrowersja by się lepiej sprzedawała?

W większych jednostkach samorządu terytorialnego, czy w skali ogólnopolskiej tak, bo wtedy mamy większe zasięgi i zwiększa się w sposób naturalny liczba odbiorców, którzy lubią tego rodzaju treści. Statystycznie w większych zbiorowościach takich osób jest więcej i na tym można budować swoje poparcie. Jesteśmy w stanie wskazać kilku czołowych polskich polityków, którzy w ten właśnie sposób się pozycjonują i to przynosi rezultaty. Ale czy zapewnia zwycięstwo w takim strategicznym tego słowa znaczeniu, czyli zgromadzenia większości, która powoduje, że mamy realny wpływ na bieżące sprawy? Tu już bym miał wątpliwości.

Kontrowersja nie zawsze się opłaca i nie zawsze warto?

Nie zawsze się opłaca. Pytanie czy warto i czy kontrowersyjny polityk, który słynie tylko z tego, że jest kontrowersyjny, będzie w realnym działaniu politycznym partnerem dla kogokolwiek. Już nie myślę o wyborcach, tylko o innych politykach - czy oni też przypadkiem nie patrzą na kontrowersyjnego w mediach społecznościowych polityka jak na kogoś najwyraźniej kontrowersyjnego, z kim nie warto robić interesów politycznych.

Pan nazwał wizerunek polityka w mediach społecznościowych rolą do odegrania. Czyli każdy polityk powinien na początku zastanowić się nad tym jak tę rolę zagrać?

Dokładnie tak, czyli wymyślłam swój profil osobowościowy i według tego profilu staram się moją rolę konsekwentnie realizować. Największym grzechem jest, kiedy stworzymy jakiś wizerunek bez zastanowienia, tworzymy jakąś postać, która nie dość, że nie jest konsekwentną w tej kreacji, to koniec końców okazuje się wdmuszką. Czyli w zasadzie to nie jestem ja. Nie chodzi o to, żeby to jeden do jeden była prawda, ale jeżeli mój profil polityczny w mediach społecznościowych - ja, jako polityk - nie odpowiada moim cechom, które faktycznie posiadam, to prędzej czy później zapomnę jak tę rolę należy odgrywać. Odpowiednia doza autentyczności w tym musi być. Wygrywają w polityce ci,

k którzy mają świadomą strategię, a nie ci, którzy działają od przypadku do przypadku. Czasami się uda, ale najczęściej bez planu w dłuższej perspektywie nic się nie udaje.

Czy takim działaniem od przypadku do przypadku można nazwać prowadzenie profili w ten sposób, że udostępniamy posty innych albo piszemy tylko o tym, że odbyło się, byliśmy tam, robiliśmy to, albo nawet nie posiadamy oficjalnych profili?

Oczywiście. Dodałbym do tego angażowanie się w różnego rodzaju challenge, które od czasu do czasu „wybuchają” i są popularne w mediach społecznościowych, a które nie mają w ogóle sensu w dłuższej perspektywie. Kiedy polityk próbuje włączyć się w tego rodzaju przedsięwzięcia, to najczęściej naraża się na śmieszność. Szczególnie ze strony młodszych użytkowników sieci społecznościowych, którzy z pewnym niedowierzaniem, albo zażenowaniem na to patrzą.

Challenge ostatnimi czasy stały się domeną TikToka. Czy pan by rekomendował korzystanie z tego medium do celów politycznych albo sam o tym myślał?

Ja średnio znam to medium społecznościowe i przyznam się szczerze, że chyba go nie rozumiem. Natomiast zdaję sobie doskonale sprawę z jego siły i oddziaływania. Musimy pamiętać jednak, że ludzie młodzi co do zasady rzadziej niż pozostałe części elektoratu chodzą na wybory. Oczywiście warto inwestować w media, które do nich trafiają, ale trzeba mieć świadomość, że z tą faktyczną mobilizacją wyborczą bywa różnie. Z drugiej strony wyborcy trzeba wychowywać, więc pewnie TikTok jest nieuniknionym sposobem komunikowania się. Tylko, że trzeba umieć go obsługiwać. Potrafią to przede wszystkim ludzie młodzi, dlatego jeżeli chcesz istnieć w tym medium, to prawdopodobnie musisz zdecydować się na współpracę z kimś, kto ci w tym pomoże. Tylko, że czasami trudno jest się dogadać i przekazać co w tych mediach chcemy zrobić, tak, żeby to na TikToku zadziało. To jest także specyficzne medium i tu wracamy do wątku, czy obecność tam wzmocni wiarygodność polityka, czy wręcz przeciwnie. Nie umiem jeszcze na to odpowiedzieć.

Ale pewnie w perspektywie kolejnych lat jest to nieuniknione, żeby się tam pojawić?

Naturalnie, tylko nie wiadomo jak wtedy będzie wyglądała ta prawdziwa polityka. Ona też pewnie będzie musiała się zmieniać.

*– JEŻELI ZROBIŁEŚ COŚ
W KAMPANII, A POTEM
WYGRAŁEŚ WYBORY,
TO WSZYSTKO, CO ZROBIŁEŚ,
BYŁO POTRZEBNE*

ZELENSKI JEST GOTÓW NA USTĘPSTWA?

Prezydent Ukrainy w wywiadzie dla Sky News powiedział, że zgadza się na czasową rezygnację z okupowanych ziem w zamian za wejście do NATO. Ale Kreml nadal stawia sobie za cel pełną realizację planu, co oznacza pokonanie Ukrainy, odebranie jej części ziem, rozbrojenie i rezygnację z członkostwa w NATO

Grzegorz Kuczyński

Wołodymyr Zełenski powiedział w wywiadzie dla Sky News, że zgodziłby się na zamrożenie wojny z Rosją wzdłuż obecnej linii frontu pod dwoma warunkami: gwarancji bezpieczeństwa NATO dla Ukrainy i możliwości starania się w przyszłości o odzyskanie okupowanych ziem ukraińskich drogą dyplomatyczną.

Zełenski powiedział, że gorąca faza konfliktu może zostać zakończona, jeśli Ukrainie zostanie zaoferowane członkostwo w NATO w jej pozostałych granicach, ale samo zaproszenie NATO powinno „uznać międzynarodowo uznane granice Ukrainy”. - Jeśli chcemy zatrzymać gorącą fazę wojny, musimy wziąć terytorium Ukrainy, które mamy pod naszą kontrolą, pod parasol NATO - powiedział Zełenski. Zapytany o utracone terytoria, prezydent powiedział, że „Ukraina będzie w stanie odzyskać je drogą dyplomatyczną”.

Ponadto Zełenski postawił warunek, aby NATO „natychmiast” objęło gwarancjami część Ukrainy, która pozostaje pod kontrolą Kijowa, aby Rosja nie wróciła i nie zabrała jej.

Rosja chce pełnego zwycięstwa

Kilka dni wcześniej Siergiej Naryszkin, dyrektor rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR), powiedział po spotkaniu szefów służb specjalnych krajów WNP w Moskwie, że Rosja „kategorycznie odrzuca jakiegokolwiek zamrożenie konfliktu zgodnie z koreańską, czy jakąkolwiek inną opcją”. - Potrzebujemy

trwałego i długoterminowego pokoju na wiele, wiele lat - powiedział Naryszkin, podkreślając, że warunkiem zapewnienia takiego pokoju jest wyeliminowanie przyczyn, które doprowadziły do konfliktu.

Słowa Naryszkina wskazują, że Rosja nie rezygnuje z celów postawionych na początku pełnoskalowej wojny z Ukrainą. A więc aneksji części jej terytorium (co najmniej Donbas i obwody zaporoski i chersoński), rozbrojenia Ukrainy, narzucenia jej „neutralności” i usunięcia prozachodnich władz. To warunki zaporowe, wykluczające obecnie jakiegokolwiek powodzenie planów pokojowych Donalda Trumpa.

Rekordowe nakłady na wojnę

Prezydent Władimir Putin podpisał ustawę o budżecie federalnym na lata 2025-2027. Budżet przewiduje rekordowe wydatki na potrzeby wojskowe - w części ukryte w innych rozdziałach. W 2025 r. wyniosą one 13,5 bln rubli - około 41 proc. wszystkich wydatków kraju. To więcej niż budżetowe finansowanie opieki zdrowotnej, edukacji, polityki społecznej i gospodarki narodowej razem wzięte.

Aby pokryć koszty wojny, od 2025 r. wzrosną podatki dochodowe, podatki dla małych i średnich przedsiębiorstw, podatki od wydobycia gazu, ropy i węgla, a także akcyza na alkohol, papierosy i słodkie napoje. Według Stowarzyszenia Eksporterów i Importerów Rosji, w przyszłym roku ceny wszystkich produktów wzrosną o około 20 proc., a ceny usług mieszkaniowych i komunalnych o 10 proc.

Dochody kraju, zgodnie z ustawą, w 2025 r. powinny wynieść 40,3 bln rubli, a wydatki - 41,47 bln. Deficyt wynosi 1,17 biliona rubli.

Jak zauważa portal The Bell, 13,5 bln na obronę i bezpieczeństwo narodowe to rekord w całej historii postsowieckiej Rosji. W budżecie na 2024 r. wydatki wojskowe ustalono na 10,4 bln rubli, co również było wówczas historycznie wysokim poziomem, ale wtedy rząd zakładał, że to jednorazowa anomalia: miał gwałtownie zmniejszyć wydatki wojskowe od 2025 r. do 8,5 bln rubli. Tak się jednak nie stało. Projekt budżetu ponownie zakłada jednak, że wydatki wojskowe zaczną spadać za dwa lata, ale tylko nieznacznie - do 12,8 bln rubli w 2026 roku.

Mało na politykę społeczną

Premier Rosji Michaił Miszustin, prezentując projekt budżetu w Dumie Państwowej, stwierdził, że priorytetem państwa będą wydatki na politykę społeczną. Jednak w 2025 r. tylko 155 bilionów rubli zostanie przeznaczonych na program „Rozwój opieki zdrowotnej”, 600,2 miliarda rubli na program „Rozwój edukacji” i 3,487 biliona rubli

ZELENSKI: JEŚLI CHCEMY ZATRZYMAĆ GORĄCĄ FAZĘ WOJNY, MUSIMY WZIĄĆ TERYTORIUM UKRAINY, KTÓRE MAMY POD KONTROLĄ, POD PARASOL NATO



Wołodymyr Zełenski sugeruje, że w zamian za członkostwo w NATO jest gotowy na porozumienie z Rosją, nawet jeśli Moskwa nie odda od razu zajętych terenów

na program „Wsparcie społeczne obywateli”. 10 bilionów rubli zostanie przeznaczonych na wsparcie rodzin z dziećmi w latach 2025-2027.

Dodatkowe dotacje i subwencje zostaną przeznaczone na wsparcie uczestników „specjalnej operacji wojskowej”, jak rosyjskie władze nazywają wojnę na Ukrainie i ich rodzin. Największym beneficjentem będzie Fundacja Obrońców Ojczyzny, na czele której stoi rosyjska wice-minister obrony Anna Cywiliowa, córka kuzyna Władimira Putina.

Pomoc ze strony Korei Płn.

Przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un zadeklarował zamiar rozszerzenia więzi z Rosją we wszystkich obszarach, w tym współpracy wojskowej. Poinformowała o tym północnokoreańska państwowa agencja KCNA, powołując się na szczegóły wizyty w tym kraju rosyjskiego ministra obrony Andrieja Biełousowa.

W oświadczeniu cytowanym przez KCNA, Kim odniósł się do kompleksowej umowy o partnerstwie strategicznym, którą podpisał z prezydentem Rosji Władimirem Putinem w czerwcu tego roku. Umowa

obejmuje współpracę w dziedzinie obronności.

Północnokoreańska agencja prasowa nie podała, czy Kim Dzong Un omawiał z rosyjskim ministrem Andriejem Biełousowem rozmieszczenie wojsk KRLD w Rosji.

Wcześniej różne źródła, w tym południowokoreańskie służby wywiadowcze, informowały o wysłaniu przez Pjongjang co najmniej 10 tys. swoich żołnierzy do Rosji, w tym do obwodu kurskiego, skąd rosyjska armia

próbuję wyprzeć siły ukraińskie. Jednocześnie cytowane są słowa Kim Dzong Una w rozmowie z Biełousowem, że otrzymane niedawno przez Ukrainę pozwolenie na użycie zachodniej broni dalekiego zasięgu do uderzenia w Rosję jest wynikiem „bezpśredniej interwencji wojskowej USA”, a Moskwa ma prawo do samoobrony. Wcześniej informowano, że Andriej Biełousow zaprosił wojska KRLD do udziału w paradzie 9 maja w Moskwie w 2025 roku.

REKLAMA 0111007555

Jesienne zakupy w Centrum Mody

ponad 50 nowych sklepów

Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00



Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

Pozorna bezpartyjność Karola Nawrockiego

Prezes PiS przed wyborami prezydenckimi szukał wyjścia z narracyjnego impasu, w którym partia znajduje się od przegranych wyborów parlamentarnych w 2023 r. Znalazł pomysł na bezpartyjnego, obywatelskiego kandydata oraz retorykę o zakończeniu wojny polsko-polskiej. – Zasadniczym problemem jest wiarygodność tej narracji. Zwyczajnie trudno w nią uwierzyć – mówi dr hab. Jarosław Nocoń, politolog z Uniwersytetu Gdańskiego

Tomasz Chudzyński

Jarosław Kaczyński nawołujący do zakończenia wojny polsko-polskiej przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi to jedno z największych zaskoczeń minionego tygodnia. I chyba największa wolta PiS w historii tego ugrupowania. Reprezentantem tej idei Jarosława Kaczyńskiego ma być bezpartyjny, obywatelski kandydat na prezydenta RP. Jest nim gdańszczanin, dr Karol Nawrocki, prezes IPN, były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej.

Wyliczenia spin doktora

- To dość karkołomna idea, choć nie pozbawiona postaw racjonalnych. Jest mnóstwo badań politologicznych, które wskazują, że duża część polskiego społeczeństwa jest zmęczona politycznymi podziałami i konfliktami. Sądzę, że i PiS-owi to w badaniach wyszło. Stąd idea obywatelskiego, bezpartyjnego kandydata -

mówi dr hab. Jarosław Nocoń, politolog z Uniwersytetu Gdańskiego.

Zadanie zdobycia Pałacu Prezydenckiego Jarosław Kaczyński powierzył Karolowi Nawrockiemu. Od dawna był on na giełdzie nazwisk potencjalnych kandydatów PiS na prezydenta RP, w gronie „młodych, okazałych, znających języki” (jak charakteryzował walory konieczne do walki o prezydenturę Jarosław Kaczyński). Nawrocki okazał się też lepszy od Przemysława Czarnka, jednego z najbardziej twardych, kontrowersyjnych, wyrazistych polityków PiS. Zdecydowała „bezpartyjność” Karola Nawrockiego, która miała dać atut obywatelskości kandydata. W czasie jego prezentacji w hali Sokoła w Krakowie nie wiadać było partyjnego logo. Prezes IPN rzeczywiście nie ma legitymacji partyjnej. Nie startował do tej pory w żadnych wyborach, choć w 2018 roku był brany pod uwagę jako potencjalny kandydat PiS na prezydenta Gdań-

ska. Niemniej, w mieście, z którego pochodzi, utożsamiany jest zdecydowanie z partią Jarosława Kaczyńskiego. To PiS wskazało go jako dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, a potem wspierał go w objęciu funkcji prezesa IPN. Dlatego Jarosław Nocoń mówi o pozorowanej bezpartyjności Karola Nawrockiego.

- Spin doktorzy PiS chcą w kampanii prezydenckiej eksplorować i zbudować potencjał tego kandydata na jego bezpartyjności. Natomiast Karol Nawrocki, choć nie jest członkiem partii, to bez wątpienia jest aktywną polityczną postacią PiS, lojalnym wykonawcą woli politycznej tej partii. Jego ścisłe związki są oczywiste - chociażby wsparcie jego dotychczasowej kariery, nie mówiąc już o tym, że to przecież PiS będzie finansował jego kampanię prezydencką. Moim zdaniem problem zasadniczy jest w wiarygodności tej narracji. Trzeba by chyba było długo przebywać poza Polską, żeby uwierzyć, że Karol Nawrocki jest kandydatem niezależnym. Naprawdę, trudno jest to sobie wyobrazić - mówi politolog.

Poszerzanie bańki

Pozostawienie partyjnych emblematów w przyszłorocznej kampanii prezydenckiej ma być konsekwencją marketingowej strategii i wyborczej matematyki. Wszystko wskazuje, że partyjny kandydat PiS, taki jak np. Przemysław Czarnek, zmobilizowałby twardy elektorat zwolenników, ale byłoby to niewystarczające do nawiązania walki z kandydatem Koalicji Obywatelskiej Rafałem Trzaskowskim. A Karol Nawrocki ma być „wybieralny” dla elektoratu konserwatywnego, centrowego, nie utożsamiającego się z PiS. Co ciekawe, o poszerzaniu tzw. bańki mogą świadczyć choćby niedawne deklaracje Mateusza Morawieckiego, byłego premiera, który publicznie wspierał projekt Lewicy o wolnej Wigilii.

- Prawo i Sprawiedliwość od czasów przegranych wyborów jest w impasie narracyjnym. Trudno jej jeszcze znaleźć odpo-



FOT. ADAM JANKOWSKI

wego, tendencja wygaszania polaryzacji, byłaby skuteczna? Czy wyższą frekwencję, skuteczniejsze zagospodarowanie elektoratu zapewnią afektywne podziały? Czy prowadzenie kampanii w tonie pokojowym? Pomijając względy moralne, wspólnoty narodowej, to przyznam szczerze, że nie jestem pewny, czy już nadszedł w Polsce czas na koncyliacyjną formułę politycznych zmagania.

- Na pewno nie będziemy się przytulać do tych, którzy są pozbawieni genu polskości - mówił w radiu Trójce, w minionej wtorek, Przemysław Czarnek, pytany o narrację dotyczącą zakończenia wojny polsko-polskiej.

Kontekst kampanii

„Ta kampania będzie o bezpieczeństwie” - podkreślał Radosław Sikorski, jeszcze w momencie gdy rywalizował w prawyborach KO z Rafałem Trzaskowskim. Z drugiej za powieści polityków PiS wskazywały na kopię wzorców z kampanii Donalda Trumpa w USA. Mieliby oni postawić m.in. na dyskusję o portfelach Polaków. Zwolennicy obecnej większości parlamentarnej wskazują, że od odsunięcia PiS od władzy minął dopiero rok i liczą na podobne, jak jesienią 2023 roku, społeczne emocje oraz rozkład głosów. W niedawnym wywiadzie z „Dziennikiem Bałtyckim” historyk dyplomacji dr Janusz Sibora wskazywał jednak, że wyborem prezydenta RP będzie bliżej do społecznego plebiscytu nad rządem Donalda Tuska.

- Jednym z najważniejszych kontekstów kampanii będzie ten dotyczący Andrzeja Dudy sprzeciwiającego się rezultatom wyborów z 15 października, przez co rząd nie może realizować swoich obietnic wyborczych z uwagi na postawę obecnego prezydenta. Ekipa rządząca będzie mówić, właściwie już takimi wątkami gra, że to Andrzej Duda, jako prezydent blokuje rozliczenia rządów PiS i naprawę wymiaru sprawiedliwości, reformy eko-

wiedni ton albo temat przeciwko koalicji Obywatelskiej, który cieszyłby się zdecydowanym poparciem społecznym. Być może po prostu minęło zbyt mało czasu od zakończenia rządów przez PiS. W samej partii również brakuje konsolidacji, widzimy przecież wewnętrzne tarcia i walki wewnętrzne. Wiemy, że Koalicja Obywatelska i partie z nią współpracujące wciąż nie zakończyły rozliczeń PiS, a właściwie dopiero ten proces rozpoczynają. To wszystko skłoniło Jarosława Kaczyńskiego do poszukiwania zupełnie innej formuły na wybory prezydenckie - mówi Jarosław Nocoń.

Nie przytulimy się do każdego

Czy propozycja usunięcia polaryzacji politycznej polskiego społeczeństwa przez partię, której radykalny podział dawał przewagę i zapewniał zwycięstwa w wyborach w minionej dekadzie, będzie wiarygodna? W sytuacji takiej, że oba największe obozy polityczne

przerzucają się odpowiedzialnością za to, kto wojnę polsko-polską rozpętał? Trudno zresztą sobie wyobrazić, by o zakończeniu wojny polsko-polskiej nie mówili Rafał Trzaskowski, kandydatka lub kandydat Lewicy, czy wręcz Szymon Hołownia, również przecież idący do wyborów jako kandydat niezależny, a który budował swoją karierę polityczną na alternatywie do sporu PO-PiS, o czym niedawno ponownie wspominał. - Potrzebny jest tu jednak szerszy ogląd - wskazuje Nocoń. - Głęboki podział społeczny na tle afektywnych konfliktów, jest domeną wielu scen politycznych. Możemy mówić o Stanach Zjednoczonych, gdzie wybór polega na głębokim zaangażowaniu emocji. Ale ten trend jest coraz wyraźniejszy, z efektem w postaci dochodzenia do głosu radykalnych sił, także w państwach europejskich. I teraz jest pytanie, czy akurat w Polsce, z punktu widzenia marketingu politycz-

REKLAMA

0011221840



Prezydent Miasta Świdnicy WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

o drugim przetargu ustnym,
nieograniczonym na sprzedaż

wolnego lokalu użytkowego nr 02 przy ulicy Grodzkiej nr 7-11 w Świdnicy wraz ze sprzedażą ułamkowej części gruntu oraz z jednoczesnym oddaniem w użytkowanie wieczyste ułamkowej części gruntu.

Gmina Miasto Świdnica jest właścicielem wolnego lokalu użytkowego nr 02 składającego się z: sali zasadniczej, szatni, dwóch korytarzy, dwóch w.c., kuchni, zaplecza, dwóch magazynów, pomieszczenia sanitarnego oraz zaplecza gospodarczego (składającego się z: 7 pomieszczeń gospodarczych + korytarz w piwnicy - użytkowane w piwnicy) o powierzchni 206,70 m², mieszczącego się w budynku przy ulicy Grodzkiej nr 7-11 (parter), położonym na działce nr 1925 o powierzchni 626 m², dla której Sąd Rejonowy w Świdnicy prowadzi Księgę wieczystą nr SW15/00015281/7 oraz na działce nr 1926 o powierzchni 112 m², dla których Sąd Rejonowy w Świdnicy prowadzi Księgę wieczystą nr SW15/00029557/4. Przedmiotową nieruchomość przeznaczoną do sprzedaży w drodze drugiego przetargu ustnego nieograniczonego wraz ze sprzedażą ułamkowej części gruntu działki nr 1925 oraz z jednoczesnym oddaniem w użytkowanie wieczyste ułamkowej części gruntu działki nr 1926. Nieruchomość zbywana jest bez obciążeń.

Cena wywoławcza do drugiego przetargu wynosi - 1 300 000,00 zł.

Wadium wynosi - 130 000,00 zł

Przetarg nr P-143/II/25 odbędzie się w dniu 6.02.2025 r. w Sali Narad Urzędu Stanu Cywilnego w Świdnicy przy ulicy Armii Krajowej 47 o godzinie 10:00.

Uczestnicy licytacji proszeni są o punktualne przybycie.

Ogłoszenie o przetargu zostało opublikowane na stronie internetowej Urzędu Miejskiego <http://um.swidnica.pl/pages/pl/urzadz-miejski/sprzedaz-nieruchomosci.php>, w Biuletynie Informacji Publicznej www.bip.um.swidnica.pl w zakładce „Sprzedaż i dzierżawa nieruchomości” oraz wywieszone na tablicy ogłoszeń przy pok. 124 w Urzędzie Miejskim w Świdnicy, ul. Armii Krajowej 49.

Dodatkowe informacje na temat przetargu można uzyskać w Wydziale Mienia Komunalnego, pok. 229, tel. 74 856 28 67 oraz w Wydziale Przetargów i Inwestycji Miejskich, pok. 125 i 124, tel. 74 856 29 24, 74 856 28 50 i 74 856 29 23.

nomiczne - czyli najważniejsze postulaty, z którymi partie sprzeciwiające się PiS szły do wyborów parlamentarnych. Zatem jeżeli koalicja tego nie wygra, to będzie oznaczało, że nie jest w stanie zrealizować swoich zamierzeń wyborczych - wskazuje Jarosław Nocoń.

Nawrocki już się buduje

Prezentacja Karola Nawrockiego z minionej niedzieli przykryła medialnie ogłoszenie rezultatu prawyborów w Koalicji Obywatelskiej dzień wcześniej. Działalność efekt świeżości, a sam szef IPN-u był mocno aktywny w mediach - na pewno o wiele bardziej niż wcześniej. Ruszył też w objazd po kraju. Kampanię rozpoczęli działacze PiS w mediach społecznościowych. Z drugiej strony, inauguracyjne wystą-

pienie Karola Nawrockiego zostało ocenione jako mało porywające. Kandydat „wspierany” przez PiS nie ustrzegł się porównań do Andrzeja Dudy, który 10 lat temu został zaprezentowany w hali Sokoła w Krakowie.

- Sądzę, że zwłaszcza po stronie Prawa i Sprawiedliwości, możliwych jest jeszcze wiele wariantów i trzeba obserwować uważnie ten rozwój sytuacji. Karol Nawrocki nie musi być ostatecznym kandydatem, nie wykluczałbym takiego scenariusza, mówią zresztą o nim sami politycy PiS. Z drugiej strony niewykluczone jednak, że zostanie do końca. Może nie wypadł na inauguracji zbyt dobrze, tak, jak Duda, ale jest to na pewno człowiek, który ma potencjał, może nawet talent, i kiedy zostanie poddany profe-

sjonalnej „obróbce” przez fachowców, to na pewno może się rozkręcić. Wszystko zależy od tego, jak będzie sobie radził w mocnych, wymagających górkach przedwyborczych. To jest dopiero początek ciekawej drogi - mówi politolog.

O mobilizacji

Jarosław Nocoń zgadza się, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem przebiegu wyborów prezydenckich w maju przyszłego roku będzie start w drugiej turze między Rafałem Trzaskowskim a Karolem Nawrockim. Tyle że są to przewidywania na teraz. W grze są w tej chwili Szymon Hołownia oraz Sławomir Mentzen z Konfederacji (co do ostatecznego startu też są wątpliwości, a w grze ciągle może być tu Krzysztof Bosak).

- Polityka profesjonalizuje się coraz bardziej, korzysta z bardzo zaawansowanych narzędzi - wskazuje Nocoń. - To nie tylko badania opinii publicznej, ale typowo marketingowych, czy związanych z działalnością propagandową. To narzędzia, analizy wskazują odpowiednie kroki ugrupowaniom, jakie ruchy będą najsukcesowniej w mobilizacji elektoratu, czym najlepiej motywować obywateli, by poszli do urn wyborczych. Dzieje się to, niestety, kosztem merytorycznej debaty. Natomiast trzeba zastrzec - to naprawdę wczesny etap. Jednak już teraz bardzo interesujący.

Czy Rafał Trzaskowski będzie w stanie zmobilizować w drugiej turze, w pełni, elektorat „anty-PiS” przeciwko Karolowi Nawrockiemu? Czy Nawrocki będzie w stanie odebrać część centrowych głosów przynależnych z założenia PSL-owi, Polsce 2050? Bez wątpienia zbierze elektorat „anty-Trzaskowski” w postaci głosów Konfederacji.

- Rafał Trzaskowski od dłuższego czasu, od poprzednich wyborów w 2020 roku, jest brany pod uwagę w kwestii prezydentury - mówi Jarosław Nocoń. - Wyborcy mieli dużo czasu i możliwości, by zweryfikować, jaki to jest typ polityka. Na pewno jest politykiem przewidywalnym, doświadczonym, a o tym, że PiS traktuje go jako poważne zagrożenie dla swoich planów, świadczą łatki, jakie próbuje przylepić mu opozycja. Będzie zapewne działał motywując na przeciwników politycznych. Karol Nawrocki, jak należy się spodziewać, będzie współpracował z PiS. Wydaje się, że jako prezydent, może być zdolny do decyzji bardzo zdecydowanych, bardziej wyrazistych od tych, jakie podejmuje Andrzej Duda. Będzie bez wątpienia groźnym rywalem dla obecnego obozu władzy, ale też i motywującym jego zwolenników... To będą skomplikowane szachy. Na razie obserwujemy rozstawianie figur.

denckiej. W ostatnich dniach wyprzedził Przemysław Czarnka, który do niedawna był zdecydowanym faworytem PiS. Karol Nawrocki bez wątpienia jest waleczny. Znajomi, z którymi grał w piłkę nożną (był zawodnikiem Gedanii Gdańsk, kibicuje Lechii Gdańsk), wspominali, że nie było miłej gry, gdy pojawiał się na boisku. Karol Nawrocki trenował także boks - zdobył nawet złoty medal w jednym z turniejów juniorskich w kat. 91 kg), w charytatywnej walce stanął w ringu z Mariuszem Wachem, a na studiach był ochroniarzem w jednym z trójmiejskich lokali.

Jest wierzącym, praktykującym katolikiem, co często podkreśla. Jednak to twardego z zdecydowanych poglądach politycznych, społecznych oraz postawie. Znana jest historia, kiedy obronił kobietę przed agresywnym mędzem. Nawrocki wywołuje też kontrowersje. Kilka miesięcy temu pokazał się jego zdjęcie ze spotkań z Patrikiem Masiakiem, Wielkim Bu, który ma kryminalną przeszłość. Prezes IPN twierdził, że łączyła ich jedynie znajomość z czasów zmagania w ringu. Echom odbił się także niedawny wywiad dla WP z Mariuszem Wójtowiczem-Podhorskim, byłym współpracownikiem Karola Nawrockiego z czasów Muzeum II Wojny Światowej, w którym ten pierwszy określił obecnego szefa IPN m.in. intrygantem, człowiekiem fałszywym z wybujałym ego. Nawrocki odpowiedział zdecydowanie na tamten wywiad, mówiąc m.in. o „grzechu za zdrości”.

REKLAMA

0011215355

Jak możesz zaoszczędzić na rachunkach za ogrzewanie?

Nowa technologia termoceramiczna zużywa mniej energii niż tradycyjne kaloryfery, grzejniki i farelki. Dzięki niej możesz szybko i łatwo ogrzać punktowo każde pomieszczenie w domu oraz masz szansę obniżyć rachunki za ogrzewanie!

Nie możesz zasnąć w lodowatej sypialni? Trzęsiesz się z zimna, wychodząc z wanny? Dzięki termoceramicznemu minigrzejnikowi z turbiną możesz:

- 🔥 **dogrzać punktowo** dowolne pomieszczenie (bez kaloryferów, grzejników olejowych i farelki)
- 🔥 **zaoszczędzić** pieniądze
- 🔥 **zmienić** każde chłodne pomieszczenie w ciepłe, przytulne wnętrze
- 🔥 wreszcie **przestać marznąć!**

Wystarczy wetknąć go do gniazdka i gotowe! Ogrzewacz wykorzystuje **technologię termoceramiczną**, która zamienia energię elektryczną na ciepło wydajniej niż urządzenia grzewcze starego typu. Do tego jest cichy, lekki, przyjazny dla środowiska.

Ile można zaoszczędzić?

Termoceramiczny minigrzejnik ze swoją kompaktową i energooszczędną konstrukcją jest idealnym rozwiązaniem dla tych, którzy chcą szybko ogrzać małą przestrzeń. Jego innowacyjna technologia daje szansę na znaczące obniżenie rachunków za prąd.

Grzejnik olejowy jest znany ze swojej wytrzymałości i zdolności do efektywnego ogrzewania większych pomieszczeń. Jednak należy pamiętać, że jego użytkowanie wiąże się z wyższymi kosztami energii.

Jak to działa?

Termoceramiczny minigrzejnik jest wyposażony w **regulowany termostat**, który pozwala ustawić temperaturę grzania (od 15 do 32°C). Posiada 2 tryby nawiewu: normalny i błyskawiczny.

Wystarczy podłączyć termoceramiczny minigrzejnik do gniazdka, ustawić prędkość nawiewu, temperaturę i czas. Dzięki wydajnej turbinie ceramiczny element grzewczy o **mocy 350W** w zaledwie kilka minut zmieni każde zimne pomieszczenie o powierzchni nie większej niż 23 m² w przytulne, ciepłe wnętrze. Waży tylko 0,7 kg, jest tani, mały i cichy. Możesz go przenosić ze sobą lub mieć jeden w każdym pokoju.

Czy jest bezpieczny?

Oczywiście! Grzejniki olejowe i farelki są duże i ciężkie, wolno nagrzewają pomieszczenia, powodują przeciążenia i zwarcia. Termoceramicz-



ny minigrzejnik może być bezpieczniejszy od farelek i grzejników olejowych, którymi można się poparzyć. Możesz go używać bez obaw w każdym pomieszczeniu.

Dlaczego ten termoceramiczny minigrzejnik może sprawdzić się lepiej niż inne urządzenia?

Jest zawsze pod ręką, kiedy go potrzebujesz. Jest **mały, lekki i przenośny**. Możesz go używać w dowolnym miejscu, a nawet zabrać do pracy, a dźwigając ciężki grzejnik olejowy czy dużą farelkę, możesz nadwyrężyć kręgosłup i porysować podłogę.

Wystarczy go włożyć do najbliższego gniazdka. Wbudowany wyłącznik czasowy i czujnik ciepła sprawia, że urządzenie wyłączy się automatycznie o ustawionej godzinie lub gdy temperatura powietrza w pomieszczeniu osiągnie ustawioną wartość.

Szybko ogrzewa pomieszczenie wokół Ciebie, a do tego **może zużyć mniej prądu** niż przestarzałe urządzenia grzewcze.

Ogrzej się i nie przeplacaj!

Wyobraź sobie, jak przyjemnie będzie wstawać w chłodne poranki. Minigrzejnik może szybko zmienić zimną kuchnię, łazienkę czy garaż w ciepłe i przytulne miejsce.

To również idealne rozwiązanie dla seniorów i osób, które nie chcą (lub nie potrzebują) ogrzewać całego domu. Termoceramiczny minigrzejnik umili wieczór przed TV w zimowe wieczory. Ogrzeje łazienkę przed kąpielą lub sypialnię przed snem. Zapomnij o przestarzałych, prądożernych grzejnikach olejowych i farelkach!

JESIENNA OFERTA!

Tylko do 5 grudnia możesz otrzymać termoceramiczny minigrzejnik za jedyne **97 zł**.

**Zadzwoń teraz:
91 300 35 00**

Od pon. do niedz. w godz. 8:00–20:00
(Zwykłe stacjonarne połączenie telefoniczne)

Szczegóły oraz informacje dotyczące procedury zwrotów i reklamacji dostępne są pod adresem:
<https://info-for-customers24.com/statute/pl/>



Mieszko Eichelberger: Niezgodne z nauką jest używanie terminu „kot wolno żyjący”. W rzeczywistości istnieje tylko jeden gatunek - kot domowy

FOT. ANNA KUKLIŃSKA

MIESZKO EICHELBERGER: MNIEJ BEZDOMNOŚCI, WIĘCEJ OPIEKI

O tym, dlaczego wszystkie koty i psy powinny być kastrowane i kto najlepiej poradzi sobie z myszami i szczurami w mieście, dlaczego koty wolą polować na inne zwierzęta – rozmawiamy z Mieszkiem Eichelbergerem, zoopsychologiem

Edyta Łosińska-Okoniewska

Obywatelski projekt ustawy „Stop łańcuchom, pseudohodowlom i bezdomności zwierząt” wywołał w ostatnim

czasie medialną burzę. Ma spore grono zwolenników, ale nie brakuje też przeciwników. Niektórzy podkreślają, że

obowiązkowe kastrowanie i sterylizacja zwierząt, o czym jest mowa w proponowanej ustawie, może do-

prowadzić do wyginięcia kundli i kotów wolno żyjących. Pan się z tą opinią zdecydowanie nie zgadza.

Jeżeli cokolwiek oceniamy, musimy spojrzeć na to z perspektywy całościowej. Bierzemy wtedy pod uwagę dobrostan zarówno zwierząt dzikich, jak i udomowionych, oceniamy wpływ gatunków dzikich oraz gatunków obcych, w tym inwazyjnych wobec przyrody, a także kwestie zachowania się zwierząt oraz ich dobrostanu. Ocenianie tylko z jednej perspektywy, na przykład z punktu widzenia genetyki, nie jest właściwe, a powiedziałbym skrajnie ograniczające nasze spojrzenie na tak skomplikowany temat. Chciałbym podkreślić jedną bardzo ważną kwestię: kundel to przede wszystkim nie jest odrębny gatunek. To pies domowy nierasowy, będący mieszańką różnych ras, a co za tym idzie - posiadający niepowtarzalne, indywidualne cechy - różnej jakości. Cechy, które mogą zawierać pozytywne, jak i negatywne aspekty. Podobnie jest z kotem domowym nierasowym. Koty - zarówno rasowe, jak i nierasowe, należą do tego samego gatunku. Różnią się jedynie tym, że jedne pochodzą z hodowli celowej (mocno kontrolowanej), a inne nie - z kwestii przypadku, ludzkiego zaniedbania. Warto również zauważyć, że koty domowe, ale bezdomne, są w rzeczywistości mieszańką niekontrolowanych cech, w tym chorób, zaburzeń czy schorzeń. Dla przykładu: znaczna ilość kotów bezdomnych to nosiciele koronawirusa, który mutuje w praktycznie śmiertelną chorobę, jaką jest zapalenie otrzewnej kotów.

Chciałabym zapytać, dlaczego w ustawie obywatelskiej jest zapis dotyczący obowiązkowej kastracji czy też sterylizacji wszystkich kotów i psów? Czemu ma służyć taki odgórny obowiązek? Bezdomność psów i kotów w Polsce rośnie z roku na rok, na co wskazują choćby raporty Najwyższej Izby Kontroli. Aktualne działania promujące kastrację są zbyt ograniczone. Większość zwierząt bezdomnych rozmnaża się bez jakiegokolwiek kontroli (mnożona jest w domach). Ponieważ są one mieszańką wielu genów, mają potencjalnie większe ryzyko zachorowań i są słabsze - co zresztą jest widoczne we wzrastającej ilości chorób i coraz słabszych miotach. Kastracja u kotów jest bezdyskusyjna - wydłuża ich życie i pozwala im lepiej funkcjonować. Jeszcze raz podkreślę, że jest za dużo kotów i psów - co widać i na ulicach, i w schroniskach. Nawet gdybyśmy wprowadzili masowy nakaz kastracji, to i tak przez najbliższe 100 lat nie sprawi to, że te zwierzęta wyginą. Gdyby rzeczywiście było

tak, jak twierdzą niektórzy, że kotów brakuje, to nie byłoby potrzeby corocznego ustalania programów opieki nad zwierzętami bezdomnymi w miastach, kosztujących miliony złotych. W ustawie z 1997 roku o ochronie zwierząt, która obecnie obowiązuje, zapisano obowiązek m.in. odławiania bezdomnych zwierząt oraz przeprowadzania ich sterylizacji lub kastracji, schroniska nie tonęłyby w zwierzętach potrzebujących domu.

No tak, ale dotyczy to tylko odławianych zwierząt, a w przygotowywanej ustawie „Stop łańcuchom” jest mowa o obowiązku dotyczącym wszystkich psów i kotów, a nie tylko bezdomnych.

Wszystkie bezdomne zwierzęta pochodzą z czyichś domów. W przypadku kotów kastracja jest konieczna i nie niesie negatywnych konsekwencji dla ich zdrowia. Można zgodzić się, że u psów sytuacja wygląda nieco inaczej. Pies, który doznał krzywdy, trafił do schroniska lub wykazuje agresję bądź lęk, wymaga współpracy lekarza weterynarii, behawiorysty i psychologa. W takim przypadku kastracja nie powinna być przeprowadzana natychmiast. Najpierw należy skupić się na pracy nad lękiem i poprawie stanu emocjonalnego zwierzęcia, a dopiero potem rozważyć zabieg kastracji we współpracy z behawiorystą i lekarzem weterynarii.

Czy to oznacza, że kastracja może wzmacniać lęki u psów? Poziom hormonów ma istotny wpływ na emocje i zachowanie zwierząt, w tym na lęki. Jeśli zwierzę nie posiada wypracowanych mechanizmów radzenia sobie z lękiem, kastracja może skutkować obniżeniem poziomu hormonów, co w niektórych przypadkach prowadzi do zwiększenia agresji. Nie jest to jednak вина samej kastracji, lecz wcześniejszego zaniedbania pracy z psem, który doznał traumy. Zwierzęta takie wymagają kompleksowego podejścia, obejmującego terapię behawioralną i wsparcie weterynaryjne przed podjęciem decyzji o zabiegu. Warto również podkreślić, że zarówno koty, jak i psy są gatunkami hodowlanymi, których istnienie zawdzięczamy działalności człowieka. Nawet jeśli urodziły się na ulicy, wskutek ludzkiego zaniedbania, wciąż należą do tej samej kategorii co krowy, kury, owce czy konie. Zwierzęta te nie są naturalnym elementem dzikiej fauny, lecz zostały udomowione i hodowane przez człowieka na przestrzeni wieków. To dodatkowo podkreśla naszą odpowiedzialność za ich dobrostan i kontrolę ich populacji.

No dobrze, ale w proponowanej ustawie nie ma mowy o diagnozie i konieczności sprawdzania, czy kastracja na pewno jest korzystna dla psa, a okazuje się, że w niektórych przypadkach może mu zaszkodzić.

Dla mnie jest to kwestia dyskusyjna, ponieważ ustawodawca nie ma pewności, czy dane zwierzę jest całkowicie zdrowe. Choć dwa miesiące to stosunkowo dużo czasu, aby rozwiązać niektóre problemy behawioralne, nie zawsze jest to wystarczające. Projekt tej ustawy nie jest idealny. W obecnej formie go nie popieram, ale nie dlatego, że mam zastrzeżenia do samej kastracji - jest to zabieg bezpieczny. Argumenty niektórych osób twierdzących, że kastracja może doprowadzić do wyginięcia kundli i bezdomnych kotów, uważam za irracjonalne. Mój sprzeciw budzi jednak stosowanie w ustawie terminologii niezgodnej z faktami naukowymi, co zgłosiłem już prawnikom, którzy pracują przy owym projekcie. To ważne, aby zapisy prawne opierały się na rzetelnej wiedzy i służyły realnemu wsparciu w rozwiązywaniu problemu bezdomności zwierząt.

O jakich terminach zatem mowa?

Niezgodne z nauką jest używanie terminu „kot wolno żyjący”. W rzeczywistości istnieje tylko jeden gatunek - kot domowy (*Felis catus*). Nie ma kota wolno żyjącego, wolno bytującego. Nie wolno też traktować kota domowego jako kota dziko żyjącego. W Polsce dziko żyjącymi kotowatymi są ryś (*Lynx lynx*) oraz żbik (*Felis silvestris*), a nie kot domowy. Nawet jeśli od 10 pokoleń przebywa na śmietniku czy w innych trudnych warunkach. Wciąż pozostaje zwierzęciem udomowionym. Kot domowy, niezależnie od tego, jak jest nazywany przez różne osoby czy organizacje, nie może być uznawany za dzikiego - jest gatunkiem

WAŻNE, ABY ZAPISY PRAWNE OPIERAŁY SIĘ NA RZETELNEJ WIEDZY I SŁUŻYŁY WSPARCIU W ROZWIĄZYWANIU PROBLEMU BEZDOMNOŚCI ZWIERZĄT

udomowionym od około 10 tysięcy lat, podobnie jak pies, który został udomowiony jeszcze wcześniej, około 40 tysięcy lat temu. Problemem nie jest sama kastracja, lecz mylne nazewnictwo i mieszanie pojęć. Z globalnej perspektywy mamy miliardy kotów i psów na całym świecie, które wpływają destrukcyjnie na ekosystemy. Kot domowy nie występuje naturalnie w przyrodzie - jest udomowionym potomkiem żbika afrykańskiego (*Felis lybica*), a jego obecność i rozprzestrzenienie są efektem działalności człowieka, który hodował go i wykorzystywał na swoją korzyść. Dlatego odpowiedzialność za jego populację i wpływ na środowisko spoczywa na nas.

W swoich publikacjach często wskazuje pan, że większość ludzi w ogóle mylnie przypisuje kotom ogromną rolę w walce z takimi szkodnikami, jak myszy czy szczury. To dość kontrowersyjne, zwłaszcza że w naszej kulturze ten pogląd jest głęboko zakorzeniony.

Badania wskazują, że obecność kota domowego praktycznie nie wpływa na populację szczurów. Jako mały drapieżnik kot preferuje łatwiejsze cele. Gdy zobaczy ptaka, który się nie broni, oraz szczura, zdolnego przegryźć stal, zdecydowanie wybierze atak na ptaka lub unikanie konfrontacji. W badaniach przeprowadzonych w Nowym Jorku na kilkadziesiąt upolowanych przez koty zwierząt przypadał zaledwie jeden szczur, i to słaby lub chory. Kot jest oportunistą - chętniej zje

coś znalezionej w śmietniku, niż zaryzykuje starcie z ofiarą mogącą mu wyrządzić krzywdę. Choć zdarzają się osobniki z silnym instynktem łowieckim, które mogą polować na szczury, nie jest to regułą. Myszy są częstszym łupem, ale zwykle na wsiach. Badania z Wielkiej Brytanii pokazują, że obecność kotów domowych przyczyniła się do wyginięcia 35 gatunków ptaków. Kot, będąc gatunkiem udomowionym, powinien żyć w domu z człowiekiem. Jednak z powodu błędnego nazewnictwa, wynikającego z wadliwie napisanych przepisów, bywa określany jako „kot wolno żyjący”. Tymczasem kot domowy, który dziedziczy i żyje na wolności (w bezdomności), stanowi realne zagrożenie dla środowiska naturalnego, którego częścią nie jest. To gatunek inwazyjny, a jego głównymi ofiarami są ptaki, płazy i gady, w tym gatunki chronione i zagrożone wyginięciem. Obecność kotów domowych luzem na zewnątrz niszczy równowagę ekosystemów, dlatego odpowiedzialność za ich populację spoczywa na człowieku, a ich miejsce jest w bezpiecznym środowisku domowym.

To skąd w takim razie mamy tyle szczurów? Mówi się nawet o zaszczurzonych miastach.

Problem nadmiernej liczby szczurów wynika głównie z działań ludzi, którzy tworzą warunki sprzyjające ich rozmnażaniu. Otwieranie śmietników, wyrzucanie jedzenia do kanalizacji czy pozostawianie odpadków umożliwia tym zwierzętom łatwy dostęp

do pokarmu. Badania wskazują, że kluczowym krokiem w ograniczaniu populacji szczurów jest zmniejszenie ich dostępu do pożywienia. Oznacza to m.in. zamykanie śmietników i stosowanie odpowiednich zabezpieczeń. Bez dostępu do jedzenia szczury nie będą rozmnażać się w tak dużych ilościach. Jeśli chcemy skutecznie zmniejszyć ich populację, powinniśmy również wspierać gatunki, które naturalnie regulują liczebność szczurów. W tym kontekście kluczowe jest dbanie o środowisko naturalne i zapewnienie równowagi w ekosystemach, zamiast polegać na kotach domowych, które nie są efektywnymi drapieżnikami wobec szczurów.

A to ciekawe. Kto jest zatem naturalnym wrogiem szczura?

W społeczeństwie wciąż pokutuje przekonanie, że koty muszą żyć na ulicach, aby chronić nas przed myszami i szczurami. Jest to jednak mit - skuteczność kotów w polowaniu na gryzonie, zwłaszcza szczury, jest stosunkowo niewielka. Znacznie lepiej radzą sobie z tym lisy, kuny, gronostaje czy miejskie ptaki drapieżne, takie jak pustułki. Co więcej, niektóre psy są skuteczniejszymi łowcami szczurów niż koty domowe. Nie grozi nam „zalanie” przez szczury w przypadku zmniejszenia populacji kotów. Problem pojawi się wtedy, gdy zaniedbamy właściwą troskę o przyrodę i ekosystemy. Kluczem jest wspieranie naturalnych wrogów gryzoni oraz ograniczanie dostępu szczurów do pożywienia, co skutecznie redukuje ich populację.

Podkreśla pan, że obecnie mamy za dużo kotów i psów bezdomnych. Co się takiego wydarzyło na przestrzeni lat, że ten problem urosł do takich rozmiarów?

Do 1989 roku myśliwi mieli prawo, a nawet obowiązek od-

strzeliwania bezdomnych zwierząt, które uznawano za zagrożenie dla obywateli. Temat ten nie budził wówczas większego zainteresowania i był traktowany pobieżnie, bez głębszej analizy czy próby rozwiązania problemu w sposób systemowy.

Czy to oznacza, że musimy przededefiniować rolę psa i kota?

Powinniśmy zrozumieć, że miejsce psa czy kota jest w domu lub w schronisku, gdzie mogą zaznać ciepła, regularnego posiłku i opieki. W schronisku zwierzęta mają również szansę na socjalizację, poznanie człowieka i znalezienie nowego, kochającego domu. Jeśli jednak nasze schroniska nie są na to przygotowane, należy podjąć działania, aby zainteresować tym problemem władze gmin, a szczególnie Sejm, Senat i władze centralne. Tylko wspólne zaangażowanie na różnych szczeblach może zapewnić lepszą opiekę dla bezdomnych zwierząt i skutecznie rozwiązać ten problem.

Wydawało się, że głównym założeniem ustawy „Stop łańcuchom” było to, aby zwierzęta nie były trzymane właśnie na tych kontrowersyjnych łańcuchach, tymczasem obawy budzą inne jej zapisy i temat nieco odszedł od głównego wątku.

Rozumiem, że celem programu było podejście mądre, jednak przyznam szczerze, że nie został on odpowiednio analizowany przez ekspertów. Projekt tworzyła ekipa, która pracowała nad poprzednią wersją ustawy, obecnie obowiązującej, którą, moim zdaniem, można uznać za patologicznie skonstruowaną. Umożliwia ona gminom unikanie niezbędnych działań, a w samej ustawie pojawiają się niewłaściwe terminy, takie jak „kot wolno żyjący”, co w praktyce utrwala problem bezdomności kotów na ulicach. Nowa

wersja ustawy również posługuje się tym nazewnictwem. Tworzeniem prawa powinni zająć się prawnicy, a nie celebryci - to po pierwsze. Konieczne jest, aby przy projekcie pracowali również biolodzy, specjaliści od ptaków, ssaków, gadów, zoopsycholodzy, behawiorysty oraz etolodzy, którzy przygotowaliby zalecenia, na podstawie których prawnicy mogliby stworzyć odpowiednią wersję ustawy. Obecni twórcy projektu posiadają jakąś wiedzę na temat pomocy zwierzętom, jednak w mojej ocenie to za mało, by stworzyć merytoryczny projekt. Wydaje się, że dyskusja o tej ustawie to przepychanie się różnych środowisk, na czym najwięcej stracą zwierzęta.

Co w takim razie z projektem ustawy w takiej formie? Jeśli wejdzie w życie, to będzie przynosił więcej szkód, czy jednak pożytku?

Jeśli termin „koty wolno bytujące” wejdzie do ustawy, przez kolejne 20 lat zablokuje to możliwość skutecznej pomocy tym zwierzętom. Do poprawy jest także zapis dotyczący odłączenia kotów od miotu, w którym mowa o 8 tygodniach, podczas gdy minimalny czas powinien wynosić 16 tygodni - a także w wielu innych miejscach ustawy mamy zapisy, które wymagają korekty. Nowe prawo mogłoby pomóc psom, zwłaszcza poprzez zakaz trzymania ich na łańcuchach, ale kotom przyniosłoby skrajne szkody. Tego rodzaju zapis umożliwi wielu gminom unikanie działań, które są niezbędne, by zlikwidować bezdomność. Mam jednak nadzieję, że powołanie specjalnej komisji sejmowej do spraw tej ustawy umożliwi wprowadzenie koniecznych zmian - i zostaną zaproszeni tam niezależni eksperci, niezwiązani bezpośrednio z autorami. Jestem przeciwny jej podpisaniu w obecnej formie ze względu na jej niedopracowanie i błędy merytoryczne.

PROMOCJA

0011207116

NIEZWYKŁA
POLSKA

- ✔ pomysły na jesienno-zimowy czas
- ✔ ukryte skarby regionu
- ✔ podróż po miastach

Odkryj niezwykle zakątki
w jesienno-zimowej odświeżce

- ✔ wypoczywaj aktywnie
- ✔ czas na wycieczkę
- ✔ region kulturą stoi
- ✔ magicznie i świątecznie



ZOBACZ: stronapodrozy.pl/przewodnik

BIESZCZADZKIE NIEDŹWIEDZIE ZOSTAŁY POLICZONE

Niedźwiedzie w Bieszczadach mają się dobrze, ale ich populacja rozwija się powoli - wynika z najnowszej raportu dr. Wojciecha Śmietany

Dorota Mękarska

W wielu kulturach europejskich, od czasów prehistorycznych, niedźwiedź był uważany za ucieleśnienie fizycznej potęgi. W nowoczesnym postrzeganiu, stał się symbolem dzikiej przyrody, szczególnie w kontekście ochrony zagrożonych gatunków w Europie.

W Polsce niedźwiedzie brunatne żyją w południowej części kraju, w obszarach górskich i podgórskich. Ich populacja nie jest liczna, ale dzięki działaniom ochronnym powoli się rozwija.

Największa populacja niedźwiedzi w Polsce znajduje się w Bieszczadach. To ich główne siedlisko, ponieważ region ten jest stosunkowo mało zaludniony i charakteryzuje się w miarę dużymi kompleksami leśnymi, które zapewniają odpowiednie warunki do życia.

Mniejsza populacja niedźwiedzi żyje w Tatrach, zwłaszcza w Tatrzańskim Parku Narodowym. Drapieżniki spotykane są również w Pieninach, ale są to osobniki migrujące z Tatr lub Gorców. Widywane są także na terenie Beskidu Żywieckiego i Sądeckiego. Niedźwiedzie występują również w Beskidzie Niskim, choć tu populacja nie jest tak liczna jak w Bieszczadach.

Monitorowanie liczebności drapieżnika jest ważne ze względu na ochronę tego gatunku. Polska jest zobowiązana do raportowania stanu gatunków chronionych w ramach unijnych dyrektyw.

Nauka w służbie przyrody

Liczenie niedźwiedzi nie jest łatwe, gdyż są to zwierzęta skryte i żyjące w trudno dostępnych terenach. Liczenie może być oparte o monitorowanie tropów i śladów aktywności, obserwacje terenowe oraz fotopułapki, które rejestrują obecność zwierząt. Te metody są jednak obarczone sporymi błędami.

W latach 90. do liczenia populacji niedźwiedzi zaczęto stosować badania genetyczne. Ta metoda zyskała popularność i doskonaliła się wraz

z postępem technologicznym w dziedzinie genetyki. Pierwsze próby wykorzystywania analizy DNA do monitorowania populacji niedźwiedzi miały miejsce w Ameryce Północnej oraz Europie, gdzie problem precyzyjnego oszacowania liczebności zagrożonej wyginięciem populacji jest kluczowy dla ochrony niedźwiedzi.

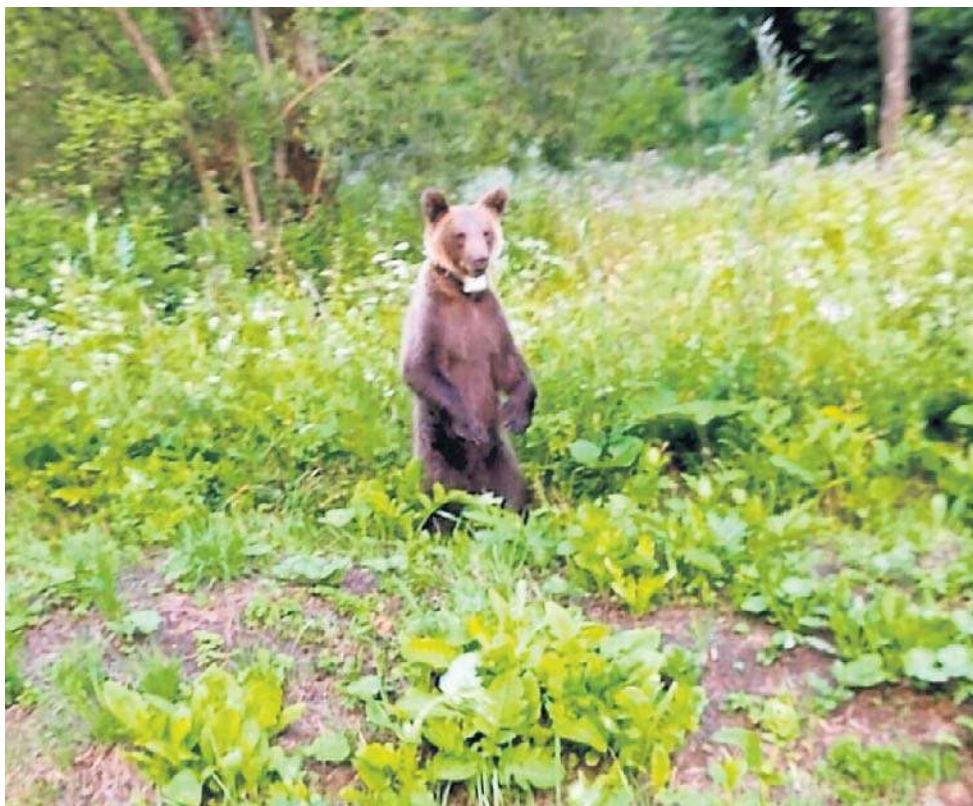
Badania genetyczne są obecnie standardem w monitorowaniu populacji niedźwiedzi i innych dużych drapieżników na całym świecie, w tym także w Polsce. Wprowadzenie tej metody było kamieniem milowym w ochronie gatunków zagrożonych, ponieważ dostarcza wiarygodnych danych niezbędnych do podejmowania decyzji ochronnych.

Policzone na podstawie badań genetycznych

Najnowszy raport o liczebności niedźwiedzi w Bieszczadach, wykonany na podstawie badań genetycznych, opublikowała Fundacja Przyroda i Nauka z Lutowisk. Jej autorem jest dr Wojciech Śmietana. Jest to wstępna ocena liczebności i rozmieszczenia bieszczadzkiej populacji niedźwiedzi w latach 2022/2023. Wyniki porównano z danymi z lat 2005-2010, które zostały opublikowane w 2014 r. Były one uzyskane także dzięki badaniom genetycznym.

- Metoda genetyczna pozwala, po pierwsze, na identyfikację osobników - zaznacza dr Śmietana. - Po drugie, jest to metoda kompletnie nieinwazyjna, zwłaszcza jeśli chodzi o badania próbek odchodów. Nie trzeba zwierząt odławiać i znakować, a nawet ich widzieć. Na podstawie liczby zidentyfikowanych osobników i częstości ich stwierdzeń, można wykorzystując modele matematyczne, oparte na rachunku prawdopodobieństwa, w sposób dokładny określić najbardziej prawdopodobną liczebność populacji oraz błąd tej oceny.

Wojciech Śmietana nie jest jedynym badaczem, który prowadził badania populacji niedźwiedzi w Bieszczadach



Młoda niedźwiedzica sfotografowana w gminie Sanok

w oparciu o identyfikację genetyczną. W 2010 roku w Bieszczadach wykonano badania, które ograniczyły się do określenia liczby wykrytych osobników. Natomiast nie przeprowadzono na tej podstawie oceny liczebności populacji.

Kolejne badania wykonywano w 2014-2017, jednakże w tym przypadku głównym materiałem, które pobierano, nie były odchody, a próbki włosów zbierane przy użyciu tak zwanych pułapek włosowych.

Przebadano 202 próbki

- Są to najczęściej druty kolczaste, które są zawieszane na drzewach - tłumaczy badacz. - Drzewo smaruje się substancją, która prowokuje niedźwiedzia do ocierania się o pień. W moich badaniach były również zbierane włosy, ale tylko z tych miejsc, gdzie niedźwiedź w sposób niewymuszony sam się ocierał oraz zbierane z ogrodzeń, przez które niedźwiedź przechodził. Natomiast głównym materiałem były odchody.

Badacz zgromadził 202 próbki, które poddano bada-

niom genetycznym. Genetyczna identyfikacja posłużyła następnie do oceny liczebności populacji. Uzyskano ją za pomocą modelu opartego na rachunku prawdopodobieństwa.

104 niedźwiedzie

Obliczenia wykazały, że w Bieszczadach w badanym okresie populacja niedźwiedzi wynosiła 104 osobniki. Z porównania z poprzednimi badaniami wynika, że liczba bieszczadzkiej niedźwiedzi wzrosła o 25% w ciągu 13 lat. W 2009 r. oszacowano ją na 83 osobniki. Zatem średni roczny przyrost kształtował się na poziomie 1,9%.

W porównaniu do niedźwiedzi brunatnych na Słowenii, gdzie przyrost roczny wynosi 1,7 jest to ciut więcej. Natomiast w porównaniu z grizzly żyjącym w USA mniej, gdyż populacja amerykańskiego pobratymca niedźwiedzia brunatnego rozwija się w tempie 3% średniego przyrostu naturalnego.

- Nie jest to spektakularny przyrost, ale u niedźwiedzi mały przyrost to reguła. Wynika to głównie z biologii tych

zwierząt - tłumaczy badacz. - Samice mają młode co dwa lata, a zdarzają się również porzucenia miotów. W Bieszczadach to nie są rzadkie przypadki. Prawdopodobnie jest to głównie spowodowane przez poszukiwaczy poroża.

W Bieszczadach jeden samiec - jedna samica

Wpływ na taki stan rzeczy ma również fakt, że niedźwiedzie osiągają dość późno dojrzałość płciową. Samice poniżej 4. roku życia zwykle nie mają jeszcze młodych, a gdy już mogą być matkami, mają je co dwa lata i prowadzą tylko 1-3 młode. Wyjątkowo rzadko zdarzają się czworaczki.

- Dodatkowa sprawa, która wpływa na przyrost w populacji, to jest struktura płciowa - wyjaśnia Wojciech Śmietana. - W Bieszczadach stosunek płci u niedźwiedzi wynosi mniej więcej 1 do 1. Natomiast w populacjach, które są eksploatowane, tzn. gdzie poluje się na niedźwiedzie, udział samicy w populacji jest znacznie większy niż udział samców, ponieważ myśliwi zainteresowani są głównie pozyskaniem

dużych samców. Wówczas przyrost może być większy. W populacjach mocno eksploatowanych mogą to być nawet przyrosty wynoszące do 10%.

Na północ niedźwiedzie wpadają tylko z wizytą

Dr Śmietana prowadził badania na terenie Bieszczad Zachodnich, Gór Sanocko-Turczańskich, Pogórza Przemyskiego i Beskidu Niskiego.

- Jeżeli chodzi o zasięg swobodnego występowania niedźwiedzi, to był on w latach 2005-2010 większy, niż obecnie stwierdzono. Przy czym zasięg wcześniejszy był określony w oparciu o sześciolletnie badania. Natomiast najnowszy w oparciu o jednoroczne - wyjaśnia przyrodnik. - Mamy też do czynienia z obszarami peryferyjnymi, jak na przykład Pogórze Przemyskie, gdzie pojawiają się pojedyncze osobniki, samce, które mogą tam przebywać przez dłuższy lub krótszy czas.

Na pewno nie doszło do umocnienia się populacji niedźwiedzi w północnej części Gór Sanocko-Turczańskich i na Pogórzu Przemyskim, czyli na północ od drogi Sanok-Krośnice. Natomiast umacnia się ona w Beskidzie Niskim.

- Głównie chodzi o masyw Bukowicy, ale nie tylko. Populacja rozwija się bardzo powoli, ale rozwija. Systematycznie pojawiają się nowe osobniki. Ostatnio na południe od Krosna była obserwowana samica z młodym, czego wcześniej nie było - dodaje dr Śmietana.

Na razie nie wiadomo, dlaczego niedźwiedzie przekładają Beskid Niski nad północną część Gór Sanocko-Turczańskich i Pogórze Przemyskie.

- Warunki siedliskowe są równie odpowiednie - zaznacza nasz rozmówca. - Musi tu występować jakiś czynnik, który powoduje, że nie doszło na tym terenie do umocnienia się populacji niedźwiedzi. Pojawiają się na nim tylko pojedyncze osobniki. To stanowi zagrożenie. ©

ZAWSZE PATRZĘ W NIEBO

O astronomii opowiada tak, że człowiek nie może doczekać się nocy, żeby popatrzeć w niebo. Powiedzieć, że to jego pasja, to jak nic nie powiedzieć. Na co dzień pracuje przygotowując kebaby, ale gdyby mógł polecieć w kosmos, zrobiłby to bez wahania

Aleksandra Łuczyńska

Astronomią zainteresował się w dzieciństwie, dziś nie wyobraża sobie nocy bez choćby jednego spojrzenia w niebo. - To chyba tato, jako pierwszy, pokazał mi, że na niebie jest mnóstwo ciekawych obiektów - wspomina Mariusz Rudziński z Mirostowic Dolnych (pow. żarski). - Kiedyś wskazał na jedną gwiazdę, która świeciła bardzo jasno i powiedział, że to pewnie będzie Jowisz. A w pierwszej klasie podstawówki nauczycielka opowiadała nam o zaćmieniu słońca, wtedy oglądało się je przez zaciemnione szkiełko. I tak to się zaczęło, z biegiem czasu wciągnęło mnie bardzo, a trwa to do dziś.

Dzieciństwo pana Mariusza to nie były czasy Internetu, więc wszelkie informacje na temat kosmosu, gwiazd, nie były łatwo dostępne. Żeby dowiedzieć się czegośkolwiek, kupował czasopismo „Młody Technik”, zaprenumerował „Deltę”, w których publikowano najnowsze informacje na temat astronomii.

- Najważniejsze informacje na temat planet, jakie mają średnice, okres obiegu wokół słońca, zapisywałem sobie w zeszycie, który chyba jeszcze gdzieś na strychu mam. Bardzo mnie to ciekawiło i dużo czasu spędzałem szukając nowych informacji. Wtedy mogłem korzystać tylko z papierowej mapy nieba, teraz mam do tego specjalne aplikacje, które dużo ułatwiają - opowiada.

Zarwał niejedną noc, żeby tylko móc zaobserwować na niebie jakieś ciekawe zjawisko, przelot stacji kosmicznej czy zaćmienie Księżyca.

Przygodę z astrofotografią zaczął ze zwykłą cyfrowką. Dziś fotografuje niebo lustrzanką Canon 350D, który można już podłączyć do teleskopu.

- Ziemia się obraca, więc nawet jeśli ustawimy zdjęcia na 20 sekund, to gwiazdy nie

będą kropkami, ale kreskami, dlatego żeby wykonać porządne zdjęcie, teleskop musi mieć tzw. prowadzenie. Takich zdjęć trzeba wykonać bardzo dużo, wtedy nakłada się je na siebie, to jest tzw. stakowanie. Robi się to po to, żeby wyciągnąć jak najwięcej szczegółów. Jest to skomplikowane, wymaga na pewno nakładów finansowych, jeśli ktoś chciałby się tym zająć na poważnie - zaznacza pan Mariusz. - Można mówić o tym godzinami, to temat rzeka. To nie jest tak, że ktoś, kto nie miał z tym nigdy do czynienia, podepnie aparat do teleskopu i będzie od razu robił fajne foty. Nawet jeśli to jest supersprzęt, trzeba mieć trochę wiedzy. Żeby zrobić zdjęcia planet, trzeba nagrać film w formacie avi, są nawet specjalne kamery do astrofotografii. To jest niesamowicie pracochłonne, czasem siedzę przed teleskopem godzinę, a potem kolejne dwie przed komputerem. Chociaż wymaga to ogromnej cierpliwości, jest to niesamowicie przyjemne i daje satysfakcję.

Kolejnym plusem tej niesamowitej pasji jest możliwość kontaktu z przyrodą w nocy, a to coś zupełnie innego, niż obcowanie z nią za dnia. Obserwowanie nieba i słuchanie jednocześnie odgłosów z lasu - w nocy słychać lisy, sarny to niezwykle połączenie.

- Astronomia jest trochę jak wędkarstwo, człowiek siedzi po cichu niemal bez ruchu i po prostu czeka. To jest fascynujące, bo przychodzi wtedy mnóstwo myśli do głowy, można sobie coś poukładać, przeanalizować. To taki moment, kiedy można odpocząć od pędu, zgiełku, odłożyć na bok telefon i obserwować coś, co dzieje się miliony kilometrów od nas. Często jest przy tym zimno, ale to nie przeszkadza, kiedy się robi coś tak ciekawego.

Do niedawna dzielił pasję z przyjacielem Dariuszem Ją-



Mariusz Rudziński: Astronomia jest jak wędkarstwo, człowiek siedzi po cichu niemal bez ruchu i po prostu czeka

kalskim, który zmarł w ubiegłym roku w wieku 57 lat. Zbierali się czasem o 2 w nocy, żeby zobaczyć na tle księżycy przelot stacji kosmicznej, która krąży nad Ziemią.

- Kiedyś pojechaliśmy tak do Witoszyna o 2 w nocy, pod sam cmentarz. Innym razem wyjechaliśmy na łąkę pod lasem, aby obserwować Leonidy. Pora jesienna spowodowała, że nasza mgła i trochę nam to niebo zasłoniła. Staliśmy tak w oczekiwaniu aż opadnie, ale zmarzliśmy i postanowiliśmy wejść na jakiś czas do auta. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy i patrzyliśmy przez szybę, czy mgła opada... Po jakiejś godzinie stwierdziliśmy, że z obserwacji nici, bo nic za szybą nie widać... Postanowiliśmy wracać do domów. Jednak wyszliśmy jeszcze na chwilę na zewnątrz i szok! Całe niebo rozgwieżdżone! To my, siedząc w samochodzie, tak sobie nachuchaliśmy, że całe szyby nam zaparowały. Do 2 w nocy obserwowaliśmy spadające meteory. Wspominaliśmy tę żenującą wpadkę jes-

zcze przez wiele lat. Trudno uwierzyć, że już go z nami nie ma, mieliśmy mnóstwo planów na obserwacje nieba...

Zabawnych historii związanych z obserwacją nieba spotkało go wiele.

- Kiedyś wracając z pracy, a woziliłem wtedy meble, więcjechałem dużym samochodem, zatrzymałem się w lesie w nocy. Chciałem tylko zobaczyć stację kosmiczną, to były tylko dwie kropki na niebie, mało kto wiedział, co to w ogóle jest. Ja bardzo chciałem to obejrzeć, więc się zatrzymałem. Ustawiłem aparat na kontenerze i po jakimś czasie zobaczyłem nadjeżdżające auto z kogutem na dachu. To była straż leśna, panowie myśleli, że grzebię w kontenerze i coś z niego wyciągam. „Panowie, wiem, jak to zabrzmi, ale czekam na stację kosmiczną” - tłumaczyłem się gęsto. Leśnicy zaczęli się śmiać i poczekali ze mną, obejrzeliśmy razem przelot tej stacji.

Do najciekawszych rzeczy, jakie obejrzał na niebie, zalicza zakrycie Jowisza przez Księżyc i tranzyt, czyli przejście Wenus na tle Słońca. Dziś kosmos się

zmienia niemal tak, jak życie na Ziemi. Jeszcze kilkanaście lat temu na orbicie było nieco ponad tysiąc satelitów, dziś są ich dziesiątki tysięcy. Można je obserwować gołym okiem, jeśli widzimy punkcik, który świeci stałym światłem, to za pewno właśnie satelity. Niezwykle ciekawe są też obserwacje Starlinków, a niedawno Internet zalała fala niezwykłych zdjęć zorzy polarnej.

- To, że możemy obserwować je w Polsce wynika z działalności Słońca i takie zorze pojawiają się u nas co dwanaście lat. W 2012 roku mało osób o tym wiedziało, dziś to już jest powszechne - mówi. - A przecież na niebie każdego dnia możemy obserwować coś fascynującego. Mamy teraz Saturna, Jowisza, Marsa, Wenus się pokazuje. Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, że to jest planeta, ja w drodze z pracy do domu oglądałem właśnie Wenus. Możemy to oglądać gołym okiem, ale można też za pomocą lornetki 20x60, to dwudziestokrotne powiększenie. Już z takim sprzętem można

zobaczyć księżyc Jowisza, pierścienie Saturna, to jest dostępne praktycznie dla każdego - śmieje się.

Do obserwacji nieba poleca Stellarium Maps, czyli mapę nieba, z którą łatwiej będzie rozpoznać to, co dzieje się nad nami.

Czy chciałby polecieć w kosmos? - W każdej chwili. Gdyby to w ogóle było możliwe, bo to kompletnie nierealne, to chciałbym na przykład z Saturna zobaczyć pierścienie Saturna, ale to nie jest planeta skalista, tylko kula gazu, a na gazie nie da się wylądować. Ale na pewno, jeśli miałbym taką możliwość, chętnie poleciałbym w kosmos.

Pan Mariusz na co dzień sprzedaje kebaby w Sulaiman Kebab w Żarach i choć zajmuje to ogrom czasu, na obserwację tego, co dzieje się na niebie, zawsze znajdzie chwilę. Bywa tak, że zabiera sprzęt do pracy, żeby wieczorem móc obejrzeć coś ciekawego. - Ja nigdy nie patrzę pod nogi, jak idę wieczorem, tylko zawsze w niebo - podkreśla.

DO NAJCIEKAWSZYCH RZECZY,
JAKIE OBEJRZAŁ, ASTRONOM ZALICZA
ZAKRYCIE JOWISZA PRZEZ
KSIĘŻYC I TRANZYT, CZYLI PRZEJŚCIE
WENUS NA TLE SŁOŃCA

NATALIA KUKULSKA: TRZEBA BYĆ BLISKO SIEBIE I ROZMAWIAĆ NAWET O TRUDNYCH RZECZACH

„Dobrostan” to powrót popularnej piosenkarki do klasycznego popu. Nowa płyta Natalii Kukulskiej stanowi też zapis jej aktualnych emocji i przeżyć. Nam wokalistka zdradza, co było najtrudniejszym testem dla jej małżeństwa

Patryk Gzyl

Ostatnio wszędzie cię pełno: występujesz w różnych konfiguracjach i w różnych koncertach. Jak znajdujesz na to czas? Czas nie jest z gumy i rzeczywiście mam bardzo wypełniony kalendarz. Jest bardzo intensywnie i dużo się dzieje na wielu płaszczyznach. Ale robię to, co jest moją pasją.

Lubisz jak masz tak dużo pracy?

Aż tak dużo jak teraz, to chyba już nie. (Śmiech) Nie jestem osobą, która wykonuje swą pracę powierzchownie. Każdą rzecz, którą robię, jak to się mówi potocznie, „przytulam”. Czy są to produkcje koncertowe, czy nagrania, czy wywiady, czy inne rzeczy, które się dzieją. Teraz jest dużo różnych dodatkowych projektów. Koniec roku to prawdziwa kumulacja. Ale ponieważ jestem kobietą czynu, kiedy wchodzę na taki wyższy poziom energii, to wydaje mi się, że więcej mogę. I jakbym musiała wybierać czy wolę zastój czy nawał pracy, to chyba wybrałabym to drugie. Wiem jednak, że teraz trochę przesadzam i będę musiała niebawem wyhamować i odreagować.

Ta intensywność sprawia, że dużo współpracujesz z młodszymi i starszymi od siebie artystami. To dla ciebie rozwijające?

Bardzo. Ostatnio miałam wiele takich projektów, podczas których wychodziłam poza strefę swojego komfortu. Nie robiłam tylko tego, do czego jestem przyzwyczajona. To nie były tylko moje solowe koncerty, gdzie jest szansa na większą rutynę. Były różne wyzwania, specjalne projekty, do których byłam zapraszana. Choćby ostatnio śpiewałam utwory Włodzimierza Na-

homego podczas Zaduszek Jazgowych w Operze Krakowskiej. Wybierając repertuar, sugeruję się tym, co będzie ciekawe i rozwijające, a niekoniecznie najprostsze.

Czyli sama sobie ustawiasz wysoko poprzeczkę?

Sama sobie to robię, bo mogłabym czasem odpuścić i wybrać coś łatwiejszego. Wolę jednak całkowicie odpuścić jakiś projekt niż robić coś byle jak. Zawsze uważam, że słowo „chałtura” nie oznacza jakiegoś wydarzenia, tylko jest kwestią podejścia do występu. Ja sobie na takie „chałtury” nie pozwalam. W efekcie czasem muszę poruszyć swoje szare komórki, więcej nad czymś przysiąc czy czegoś się nauczyć, a nie robić tego z biegu. Działa to na mnie dobrze psychicznie: jest wielka satysfakcja, kiedy coś się udaje.

Powiedziałas kiedyś: „Szukam ludzi, z którymi będę mogła podążać w ciekawym dla mnie kierunku”. Jak znalazłaś Archie Schevskiego, z którym napisałaś piosenki na twą nową płytę „Dobrostan”?

Kiedy kończyłam współpracę z poprzednim klawiszowcem, Grzegorzem Jabłońskim, chciałam, żeby moja muzyka poszła bardziej w stronę elektroniczną. Zaczęłam więc szukać kogoś, kto miałby ochotę na takie muzyczne eksperymenty. Rozglądałam się po naszym rynku muzycznym i gdzieś mi się ten Archie „wyświecił”. Minęliśmy się kiedyś na jakimś koncercie i zaproponowałam mu granie w moim zespole. Początkowo był zastępcą, ale potem zorientowałam się, że jest to człowiek, na którego będę chciała postawić, bo jest niezwykle utalentowany.

Co was połączyło?

Okazało się, że poza tym, że Archie gra na klawiszach, to rozumiem kwestie brzmienia i ma dobry gust. Bardzo dużo nas łączy muzycznie – mamy podobne fascynacje. A potem jeszcze okazało się, że świetnie śpiewa, wtórował mi więc na koncertach w dwugłosach. A jak się spędza ze sobą więcej czasu i rozmawia o muzyce, pojawia się apetyt, żeby coś razem zrobić. I już na płycie „Ósmy plan” znalazła się jedna nasza wspólna piosenka. Na albumie „Halo, tu Ziemia” było ich już więcej. Nagrywałam ten album w kolektywie: mój mąż Michał, Marcin Mały Górny, Archie i ja. Wiedziałam więc już, że możemy też coś studyjnie razem zrobić. Zresztą przez ten czas Archie bardzo się rozwinął jako producent. Zainwestował w swoje studio i okazało się, że świetnie się z nim pracuje.

„Dobrostan” pokazuje, że tym razem napisałaście bardzo klasyczne piosenki. Co cię pociągnęło w tę stronę?

Nie lubię się powielać. Skoro kiedyś miałam już romans z mniej komercyjnymi, a bardziej alternatywnymi brzmieniami na wspomnianych płytach „Ósmy plan” i „Halo, tu Ziemia”, przez co artystycznie trochę odjechałam, bo akurat wtedy miałam na to ochotę, w pewnym momencie poczułam, że chcę teraz zrobić coś bardziej tradycyjnego. Choć

oczywiście mam nadzieję, że w naszych pomysłach kompozytorskich nie brakuje ciekawych rozwiązań brzmieniowych, harmonicznym czy aranżacyjnym. W sumie jednak „Dobrostan” jest bliżej klasycznego popu niż moje ostatnie wydawnictwa.

Trudniej jest zaintrygować słuchacza czymś ciekawym, pozostając w formule tradycyjnej piosenki?

Wydaje mi się, że łatwiej. To moje poprzednie muzyczne podróże sprawiały, że wiedziałam od razu, iż wypisuję się nim z mainstreamu i mam mniejsze szanse, by to, co robię, było puszczane w radiu. Przy tej płycie mam na to zdecydowanie większe szanse. Oczywiście te moje bardziej eksperymentalne nagrania zdobyły mi nowych słuchaczy i mam sporo fanów, którzy zaczęli mnie słuchać dopiero od „Ósmego planu”. Od wielu ludzi, którzy znali mnie od tej mainstreamowej strony, często słyszałam jednak: „Gdzie ta dawna Natalia?”. I wydaje mi się, że „Dobrostan” będzie im bliższy. Ta płyta ma większe walory komercyjnej przyswajalności niż te moje ostatnie dokonania.

Na pewno. Naczelną zasadą tych nagrań jest przecież ich melodyjność. Myślisz, że rzeczywiście radia znów zaczną grać Natalię Kukulską?

UWAŻAM, ŻE SŁOWO „CHAŁTURA” NIE OZNACZA WYDARZENIA, TYLKO JEST KWESTIĄ PODEJŚCIA DO WYSTĘPU. JA SOBIE NA TAKIE „CHAŁTURY” NIE POZWALAM

Polska
Poniedziałek, 2.12.2024

Tytułowy „Dobrostan” to chyba jedna z najbardziej zgrabnych i radiowych piosenek z tego albumu. Był singlem – ale dwie największe rozgłośnie w Polsce i tak go nie zagrały, mimo że miałam sygnał, iż jedna ma w planach. Na to jednak nie mam wpływu. Pewnych rzeczy nie rozumiem. Ale cóż – za takimi decyzjami zawsze stoi człowiek, nie tylko badania. Okazuje się jednak, że teraz można sobie bez tego jakoś poradzić. Przykładem są moje dwie piosenki, które nigdy nie były grane w radiu komercyjnym, a są moimi wielkimi hitami – „Decymy”, o którą zawsze jestem proszona na koncertach i są ukochaną piosenką mojej publiczności i „Pół na pół”, która też często jest wybierana na różne moje występy. Choć radio je omijało, obie są wszystkim znane i przez wszystkich lubiane. Czyli da się. Oczywiście, ktoś, kto opiera znajomość mojej twórczości tylko na tym, co mu zagrają te dwie największe rozgłośnie, nie będzie ich znał. Są jednak inne stacje, jak Radio Nowy Świat, Radio 357 czy Polskie Radio, które grają moją muzykę. I to mnie bardzo cieszy.

Śpiewanie Chopina i swoich przebojów w wersji „unplugged” rozwinięło cię wokalnie?

Na pewno. Ilość wyzwań wokalnych, które miałam ostatnio, była bardzo duża. I czuję, że mnie one na pewno rozwinęły.

Masz wokalną trenerkę?

Tak. Raz na jakiś czas spotykam się z coachem wokalnym – Kasią Rościńską, która mi mówi wiele mądrych rzeczy o śpiewaniu. Na tym etapie kariery, na którym obecnie jestem, takie spotkania odbywają się już na zasadzie rozmowy z trenerem. Czyli te zajęcia dotyczą bardziej psychologii śpiewania niż jakichś konkretnych technik. W śpiewaniu bardzo ważny jest „przepływ”, to odpuszczenie emocji skrytych w ciele i psychice. Śpiewamy po prostu całym sobą, a wszystko zaczyna się od intencji. Dobrze mieć takie trzecie ucho i przewodnika.

Czyli twój stan psychiczny ma wpływ na twój głos podczas nagrań czy koncertów?

Oczywiście. Przecież jak człowiek jest czymś bardzo przejęty, to mu nawet trudno mówić. Wzrusza się, zaciska mu się gardło, a tu trzeba śpiewać. Ja z moim doświadczeniem mam już umiejętność odłączania się od tego. Kiedy wychodzę na scenę, wchodzę w inny świat i muszę się odciąć na chwilę od tego, co przeżywałam wcześniej. Tak się oczyszczam, dając upust emocjom. Moja praca w dużej mierze polega na tym, aby umieć to robić. To oczywiście przychodzi dopiero z czasem i z doświadczeniem.

Zdarzyło ci się, że twój głos cię zawiódł?

Były tego rodzaju sytuacje. Wiadomo, kiedy jest dużo podróży, wywiadów i śpiewania, organizm jest narażony na takie nasilenie. Ostatnio sporo się dzieje, ale te wszystkie nowe wyzwania mi sprzyjają i głos mnie szczęśliwie nie zawodzi.

Piszesz od zawsze inteligentne teksty. Tym razem są one wyjątkowo dopasowane do muzyki. Trudno osiągnąć taką symbiozę?

To jest największy komplement, jaki mogłam usłyszeć. Najtrudniejsze w pisaniu tekstów jest to, by były one dokładnie dopasowane do tego, o czym opowiada warstwa muzyczna. Bo wiadomo, że sama muzyka ma już własny ładunek emocjonalny i niesie podświadomie jakąś treść. Dla mnie największą trudnością było złapanie tego. Kiedy tworzyliśmy z Archie’em piosenki na „Dobrostan”, to powstały one dosyć sprawnie. Gdy przyjeżdżałam do studia, często najpierw rozmawialiśmy o życiu, każdy przecież przychodził z bagażem własnych przeżyć, potem siadaliśmy do komponowania, a gdy wyjeżdżałam, utwór był już gotowy. Z tekstami była bardziej skomplikowana historia. Wiedziałam, że najpierw muszę usłyszeć emocje w warstwie muzycznej – i wtedy one same mnie zaprowadzą do tego, o czym mam napisać. Kiedy pojawiały się już ten konkretny temat, to było łatwiej. Najtrudniejsze było wycucie tych emocji w muzyce. Prawdziwy sukces jest, kiedy dwie intencje – muzyki i tekstu – spotykają się w piosence. To właśnie jest symbioza, dzięki której piosenka działa z podwójną mocą.

Pisanie tekstów w twoim przypadku to nagłe eksplozje natchnienia czy mozolna praca ze słowem?

Czasem jestem tak zakręcona w jakimś temacie, że córka do mnie mówi coraz głośniejsz „Mamo, mamo!”, a ja mam zamglone oczy i dopiero po chwili odpowiadam „Już, kochanie, już”, bo jestem myślami w zupełnie innym miejscu i staram się coś złożyć do drugiego sędu trzeciej zwrotki w piosence. (Śmiech) Kiedy jestem nastrojona na jakiś tekst, to nie mam spokoju aż go nie napiszę. Czasem jest to kwestia dwóch czy trzech dni, a kiedy indziej – miesiąca, bo mi nie idzie, piszę od nowa i tak dalej. Bardzo różnie więc to bywa.

Gdzie najczęściej szukasz inspiracji do napisania tekstu?

Tym razem postawiłam na bardzo osobiste teksty. Nie szukałam tych historii gdzieś obok, tylko w swoim własnym życiu i refleksjach.



FOT. MAT PRAS.

Natalia Kukulska: Jakbym musiała wybierać czy wolę zastój czy nawał pracy, to chyba wybrałabym to drugie. Wiem jednak, że teraz trochę przesadzam

Kiedy przychodzą ci najlepsze pomysły?

Nie ma zasady.

Twój dom jest pełen ludzi i zwierząt. Gdzie znajdujesz spokojne miejsce i czas, żeby posiedzieć nad pisaniem?

Mamy taką przestrzeń, którą udało nam się stworzyć - to nasze studio. Śmiejemy się, że to nasza „świątynia sztuki”. I to właśnie tam uciekam, żeby spokojnie sięgnąć nad tekstami. Ale czasem też różnie bywa. Kiedy pisałam „Bez kontaktu”, to naprawdę nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Wszędzie się coś działo: w studiu syn miał próbę z muzykami, do córki przyszły koleżanki, a zwierzęta rozrabiały. Śmiałam się potem, że słowa ze zwrotki „Zakopię się lub czmychnę na strych/ Są miejsca, gdzie nie znajdzie mnie nikt” są żywo zainspirowane tą sytuacją. Pamiętam, że wyszłam na taras i dopiero tam znalazłam spokojne miejsce. Mamy naprawdę duży dom, ale

czasem jest tak wypełniony ilością tematów, spraw, ludzi i bodźców, że wydaje mi się, że zwariuję. (śmiech) Musiałam więc gdzieś uciec, żeby napisać ten tekst. Całe szczęście taras był wolny. Tak powstała piosenka „Bez kontaktu”, która opowiada o tym, że czasem chcę zwać i ulotnić się gdzieś.

To pokazuje też, że nie brak w twoich tekstach humoru. Co ci pozwala znaleźć taki dystans do samej siebie?

Humor to czasem jedyny ratunek. Bez niego chyba bym zwariowała. Piosenki „Bez kontaktu” i „Pani Perfect” mają w sobie taką typową dla mnie autoironię.

Kiedys powiedziałaś w wywiadzie: „Od czasu, kiedy sama zaczęłam pisać teksty piosenek, są dla mnie pamiętnikiem”. O jakim okresie w twoim życiu opowiada „Dobrostan”?

Obecnym. To jest wszystko to, co się teraz we mnie kłębi. Ten

tytułowy „Dobrostan” jest moim celem. Ta płyta opowiada o jego poszukiwaniu i o mojej drodze do niego. Czasem, żeby go osiągnąć, trzeba być „Bez kontaktu”, by być z sobą „Bliżej”. Czasem trzeba sobie odpuścić, jak w „Pani Perfect”. Bo nie da się żyć idealnie, jakby od liniiki. Opowiada o tym też utwór „Jednogłośna”, który powstał trochę wcześniej. Do albumu włączone są bowiem piosenki z EP-ki, nagranej dwa lata temu. Pisanie tekstów to trochę taka moja autoterapia. Ale też proces. I jakiś rodzaj afirmacji. Afirmacji wspomnianego dobrostanu. Pozytywne ukierunkowanie myśli, panowanie nad nimi.

W tej tytułowej piosence śpiewasz o pozytywnym nastawieniu do świata. Ty przeżyłaś w życiu niejedno trudne doświadczenie. Jak ci się udało pozostać tak pozytywną osobą?

Myślę, że po prostu mam taką naturę. To mi ułatwia. Ja wiem, że bardzo dużo zależy od naszego podejścia i nastawienia. Jeśli będziemy malkontentami, mówiącymi cały czas jak jest źle, to nic dobrego z tego nie wyniknie. Największą sztuką w życiu jest zatrzymywanie tych złych myśli i panowanie nad nimi, czy to przez medytację czy przez muzykę. Nawet pisanie tekstów jest w moim przypadku pomocne, bo polega przecież na nazywaniu emocji i wyrzucaniu ich z siebie. Ważne są też dobre relacje z innymi, niechowanie urazy do ludzi. Odczuwanie wdzięczności. Najgorsze jest to, jak sami się trujemy swoimi myślami.

Wspomniałaś o piosence „Pani Perfect”. Znamy twoją perfekcyjność w podejściu do muzyki. Taka jesteś też w życiu prywatnym?

Ta perfekcyjność objawia się głównie w mojej pracy. Tak jak ci mówiłam na początku, nie umiem robić tego, czego się podejmuję, powierzchownie i po łebkach. Zawsze wykonuję to w stu procentach i do końca. Mój management ukuł na mnie pseudonim Natalia „Jeszcze bym powalczyła” Kukulska. (śmiech) Bo rzeczywiście jest coś takiego, że ja nie odpuszczam. Właśnie zwłaszcza w kwestiach artystycznych. Ale w życiowych też. I to mi nie ułatwia funkcjonowania. Lubię mieć kontrolę nad wieloma rzeczami i ład w domu, a przez to, że bardzo dużo się dzieje, to czasem różnie z tym bywa. Sama w domu dużo pracuję i gonię innych do tego.

Masz szczęśliwą rodzinę. To taki bezpieczny port, który pozwala ci przetrwać życiowe burze?

Praca nad relacjami jest jedną z najważniejszych i najtrudniejszych rzeczy, bo wymaga ciągłej uważności. Na płycie „Dobrostan” też opowiadałam o tym. Każdy z nas jest inny, a na relacje potrzebny jest czas. Ja mam, niestety, trochę tego deficit, bo kiedy mocno wchodzi w jakąś pracę, to czuję, że niektóre kwestie w życiu prywatnym zostają nieco zaniebane. Kiedy sobie to uświadamiam, robię wszystko, by znaleźć na nie przestrzeń. Bo ten zdrowy balans między pracą a rodziną jest podstawą.

Dwójka twoich dzieci już dorosła i niby wyfrunęła z domu, ale ciągle jesteście blisko razem. Jak się wypracowuje tak udane relacje?

Najważniejsza jest szczerość i prawda. Trzeba po prostu być blisko siebie i rozmawiać nawet o trudnych rzeczach. My nie unikamy tego. To nie jest tak, że nasze życie rodzinne to jakaś totalna sielanka. Czasami mamy różne spojrzenia na tę samą sprawę i wtedy o nich roz-

mawiamy. Nigdy tego nie odpuszczam. Kiedy pojawiają się jakieś nieporozumienia, zawsze staramy się je wyjaśniać, żeby nie chować do siebie urazy i nie zamiatać problemów pod dywan.

Takie piosenki, jak „Bezdomni bez siebie”, „Osobno czy razem” i „Jenga” opowiadają o pokonywaniu trudności, pojawiających się między dwógiem ludzi w związku. Jaki masz sposób na nie?

Znów ta uważność i otwartość. Rozważam to w każdej z tych piosenek. Zdaję sobie bowiem sprawę, że w relacjach z drugim człowiekiem każde słowo i każdy gest ma znaczenie. Dokładanie i odejmowanie elementów ma znaczenie dla całej konstrukcji, jak w tej grze Jenga. Jeden ruch za dużo i wszystko może się zawalić. Dlatego takim słowem-kłuczem jest tutaj właśnie uważność.

A co było najtrudniejszym testem dla twojego małżeństwa?

Budowa domu. (śmiech) Na pewno. Prawie nas wykończyła. Ale przetrwaliśmy. Podobno kiedy się to przetrwa, to już potem nic nie grozi małżeństwu. I oby tak było. Zobaczymy. Poza tym, takim testem jest codzienność. Ilość spraw, podział obowiązków, oczekiwania, sposób i forma komunikacji. To wszystko ma znaczenie. Ale ja nie jestem wszechwiedząca w tej kwestii, żeby dawać jakieś konkretne rady. Wiem jednak, że wszystko ma znaczenie i każdego dnia trzeba o tym pamiętać. To nie jest tak, że wystarczy o tym pomyśleć od święta. Bo codzienność nas wtedy zniszczy. Małżeństwo to nie sielanka. To jakiś rodzaj zobowiązania wobec drugiego człowieka i samego siebie, które wymaga ciężkiej pracy, jeśli oczywiście jest uczucie. A o tym wie nasze serce.

Ostatnio powiedziałaś w jednym z wywiadów: „W poprawianiu czy ratowaniu związku wszystkie chwytły są dozwolone”. Co miałaś na myśli?

Nie wolno się poddawać i unosić honorem. Jak się walczy, to na całego. Jest taka teoria, która uważam, że ma w sobie dużo prawdy, że jeśli człowiek przestaje walczyć o związek, to oznacza początek końca. Bo jest mu obojętny. Jeśli nadal chce go naprawiać, nawet kosztem nerwów i kłótni - to oznacza, że jest jeszcze to, co najważniejsze: uczucie. Może przykryte różnymi problemami, ale nadal jest. Całe szczęście u nas nigdy tego uczucia jeszcze nie zabrakło.

W piosence „Próba”, która jest ostatnia na płycie, śpiewasz: „Chociaż niełatwą zśliśmy drogą/ Wszystko co złe, już nie dotyczy nas”. To właśnie ta

twoja wspomniana afirmacja dobrostanu?

Dokładnie tak. Cieszę się, że te słowa wybrzmiewają jako ostatnie na płycie. To nie jest bez znaczenia. To właśnie moja afirmacja.

Niedawno powiedziałaś też w wywiadzie: „Zacząłam ważny proces przebudzenia i rzucania bagażu przeszłości”. Ta przeszłość bardzo ci ciążyła?

Tak. Myślę, że miałam dużo traum i lęków. Czuję, że wykonałam w tej kwestii jakąś pracę nad sobą, żeby zostawić to i skupić się na mojej rodzinie tu i teraz. Warto mieć szacunek do wspomnień, ale one też czasem ciągną nas w drugą stronę. A to zupełnie niepotrzebne. Bo znaczenie mają tylko terazniejszość i przyszłość, na które mamy wpływ.

Stwierdziłaś też: „Muszę porzucić różne rzeczy z głównego dysku, wypełnić go na nowo”. Udało się?

Tak. Ta płyta i te teksty są odzwierciedleniem tego, że to się jakoś udaje i taką właśnie drogę obrałam.

Po czterdziestce nie jest już tak łatwo zmienić swoje życie, bo mamy mnóstwo różnych przyzwyczajeń i schematów myślenia czy postępowania. Gdzie znalazłaś do tego energię?

A mnie się wydaje, że jest dokładnie odwrotnie. Za młodu idziemy za jakimś pędem i intuicją, a w pewnym momencie okazuje się, że jednak więcej potrzebne jest refleksji, rozważań i doświadczenia. I tak, jak śpiewam - zawsze jest na to właściwy moment. A energii szczęśliwie mi nie brakuje.

Czas płynie, a ty wydajesz się ciągle młoda duchem. Ma to też swoje odbicie w tym, że świetnie się trzymasz i wyglądasz. To kreatywne zajęcie sprawia, że człowiek nie czuje upływu czasu?

Tak. To wielkie szczęście, że muzyka jest dla mnie wielką pasją. Większość rzeczy, które robię, jest kreatywna, a nie odtwórcza. To sprawia, że ciągle nadaję na takich falach, które są przypisane młodości, a nie jesieni życia. Póki to mam, to się tego trzymam i po prostu działam.

Na pewno ważne jest też to, że jesteś ciągle młodą mamą. (śmiech) Pewnie tak. Chociaż nie mogę uwierzyć, że moje najmłodsze dziecko ma już osiem lat. Bo mam wrażenie, że dopiero przyszło na świat.

Faktycznie. Przecież niedawno rozmawialiśmy, że Laura właśnie się urodziła.

(śmiech) Prawda? Ale nie ma co patrzeć na mijający czas, tylko trzeba podążać za tym, co siedzi w głowie. I póki ciało daje radę, robić swoje.

Aneta Ćmiel, absolwentka białostockiej filii Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, występuje w serialu kręconym w Muzeum Zamoyskich w Kozłówce. Filmiki mają na celu przybliżenie realiów życia służby w XIX i XX wieku. Publikowane są w mediach społecznościowych i ogląda je już ponad 90 tysięcy osób

SŁUŻĄCA STEFCIA OPOWIADA O ŻYCIU W PAŁACU

Urszula Śleszyńska

Serial, w którym grasz służącą Stefcią, bije rekordy popularności na Instagramie i TikToku. Jak trafiłaś na plan tego filmu?

Moja siostra zaczęła pracę w dziale promocji w Muzeum Zamoyskich i wymyśliła, że – aby przybliżyć ludziom historię – zrobi krótkie filmiki edukacyjne, które będą opowiadały o tym, co działo się w pałacu. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie to przedstawić z punktu widzenia służby i pomyślała, że mogłabym jej w tym pomóc. Założyłam nie było takie, że nagramy kilka rolek na Instagrama...

A tymczasem projekt bardzo się rozrósł.

Szczerze powiedziawszy, nie myślałyśmy nawet o tym, że to będzie jakaś linearna historia. Chciałyśmy od czasu do czasu wrzucać różne treści opowiadane przez służącą. Od początku bardzo mi się spodobał ten pomysł. Nagralyśmy jeden filmik, Asia go wstawiła i spotkał się z dużym zainteresowaniem. Ludzie zaczęli pisać, że to świetny pomysł i widać było, że będą chcieli oglądać więcej takich treści. Spotkałyśmy się więc ponownie i nagralyśmy kolejne rolki. Zaczęło przybywać tak dużo obserwujących, że pomyślałyśmy, że dobrze by było to jeszcze jakoś rozwinąć, wpieść tam kolejne postaci.

Pojawił się zatem Antoni, zarządzający hodowlą koni w stajniach hrabiego. Serce chłopaka od razu mocniej zabiło do służącej...

No tak (śmiech). Pewnego dnia pojechałam na spektakl w zastępstwie za jedną z moich koleżanek. Grał tam mój kolega Michał Rudnicki, którego poznałam kilka miesięcy wcześniej. I okazało się, że on też oglądał te filmiki! Powiedział, że to świetny projekt, więc zapytałam, czy może chciałby wziąć w nim udział, bo akurat potrzebowaliśmy jakiegoś chłopaka. Bardzo się ucieszyli i od razu zapowie-

dział, że chętnie przyjedzie do Lublina, do Kozłówki, by to kręcić. I tak zaczął z nami pracować i stał się słynnym Antonim. Później zaś zaczęliśmy wprowadzać kolejne postaci i jeszcze nie wiemy, do czego nas to wszystko zaprowadzi, bo moja siostra, Joanna Adamek, cały czas, na bieżąco, rozwija ten projekt. Pojawiają się nowe pomysły i coraz bardziej się ten nasz serial rozkręca.

Zaczęło się od Instagrama, a kiedy serial trafił na TikToka, przybyło wam jeszcze więcej fanów.

Dokładnie tak. Na TikToka weszliśmy z filmami jakieś dwa miesiące temu. Muszę przyznać, że sama nawet nie mam tam konta (śmiech), więc nie śledzę, jak to się rozwija, ale od innych słyszałam, że dobrze. Jak moja siostra zaczęła pracować w muzeum, to placówka ta miała konto tylko na Instagramie i było tam może z tysiąc obserwujących, a teraz jest już ponad 90 tysięcy! Bardzo się cieszymy, że odnieśliśmy taki sukces. Nie spodziewaliśmy się, że będzie aż tak duże zainteresowanie naszymi filmikami. Z mojego punktu widzenia to jest tym bardziej niesamowite, że moim aktorskim marzeniem są właśnie filmy historyczne, kostiumowe. I naprawdę mogę się w tym internetowym projekcie kostiumowym spełniać, tym bardziej że dialogi są bardzo dobrze napisane, a historia jest wciągająca. Kiedy przyjeżdżam na plan filmowy, zawsze jestem bardzo podekscytowana tym, co nam wyjdzie. Już samo przygotowanie roli, uczenie się scenariusza sprawia mi dużo frajdy.

Kiedy ogląda się waszą historię, widać, jak bardzo to wszystko ewoluowało. Pierwsze filmiki, w których grała sama Stefcia, wносиły tylko historyczną wiedzę. A im dłużej tworzyście tę opowieść, tym więcej pojawia się w niej



– Kiedy wrzuciliśmy do internetu nasz pierwszy filmik, ludzie zaczęli pisać, że to świetny pomysł i widać było, że będą chcieli oglądać więcej takich treści – mówi Aneta Ćmiel grająca rolę Stefci

emocji. A i sposób nagrywania się zmienił.

Na początku to był projekt na próbę i tak naprawdę kręciliśmy wtedy telefonem. Nie miałyśmy nawet mikrofonów. Kiedy wprowadziliśmy do obsady Michała Rudnickiego, to muzeum zakupiło mikrofony, które, niestety, po nagraniu jednego filmiku się zepsuły. Nie wiedzieliśmy, co zrobić, bo Michał przecież przyjechał specjalnie z Warszawy i już myśleliśmy, że cały dzień nagrań będzie stracony.

Ktoś was jednak uratował.

Tak, jedna z koleżanek mojej siostry, która też pracuje w muzeum, zadzwoniła po kolegę zajmującego się m.in. nagrywaniem ślubów i wesel, i on nam pożyczył swoje mi-

krofony. A kiedy przyjechał i obserwował, jak nagrywamy, to tak mu się spodobał ten projekt, że zaproponował, że może nagrywać wszystko swoim sprzętem... I tak do naszej ekipy dołączył Łukasz Wągrodnny. Teraz nasze filmy są na dużo lepszy poziomie: mamy różne kadry, pojawił się montaż. Wcześniej wszystko było nagrywane tylko z jednego ujęcia. Myślę, że w dużej mierze właśnie dzięki Łukaszowi zrobił się z tego serial. I nie oszukujmy się: dużo lepiej ogląda się lepsze jakościowo filmy.

Zarówno wy, jak i pracownicy muzeum staliście się popularni.

Pracownicy, z którymi rozmawiałam, są zachwyceni

wszystkim tym, co się dzieje. Kiedy oglądali jeszcze niepublikowane filmy, to widziałam, że bardzo im się podobają. I śmiali się, i płakali. Myślę, że wszystkich nas popularność tego projektu niezmiernie cieszy, bo obserwujących przybywa. Widać też coraz większe zainteresowanie Kozłówką. Coraz więcej ludzi przyjeżdża zobaczyć ten pałac, w którym mieści się muzeum i który jest naszym planem zdjęciowym. Wiele osób przyznaje, że bardzo zainteresowała ich historia Stefci i Antoniego. Niedawno, 10 listopada, mieliśmy spotkanie z fanami, podczas którego można było z nami porozmawiać, zadać pytania, zrobić zdjęcie. I bardzo dużo ludzi przyszło. Naprawdę się nie spodziewałam, że będzie ich aż tak dużo! Okazało się, że ludzie przyjeżdżali z całej Polski!

W internecie pojawiają się petycje, by na podstawie waszych filmików zrobić pełnometrażowy serial.

To bardzo motywujące, ale czy to się rzeczywiście przerozodzi w coś większego, tego nie wiemy. Takie komentarze pokazują, że ludzie naprawdę chcą to oglądać. My też chcielibyśmy zrobić z tego większy projekt. Teraz ogranicza nas to, że musimy nagrywać w pionie – tak jak się robi filmiki do mediów społecznościowych. A dużo lepiej byłoby to robić w poziomie. Poza tym, teraz Joanna rozpisuje historię na krótkie scenki i często jest tak, że jakaś scena nagle musi się zakończyć, a chcielibyśmy, żeby potrwiała chociaż te pięć sekund dłużej. Ciągłe więc musimy coś skrać do minuty i trzydziestu sekund i jest to uciążliwe. Ale też jesteśmy zadowoleni, że możemy robić to, co wszyscy lubimy. A jeżeli pojawi się jakaś nowa opcja, żeby zmienić formułę, to myślę, że jesteśmy otwarci. Trzeba jednak pamiętać, że na większy projekt potrzeba więcej pie-

niędzy, więc na tę chwilę robimy to, co możemy.

Pozostajemy przez chwilę przy serialu i wątku miłosnym. Antoni jest coraz bardziej zauroczony Stefcią, ale pojawił się też Józio – kolejny chłopak, który stara się o względy służącej. Ty, jako Aneta Ćmiel, wybrałabyś Józia czy Antoniego?

W życiu prywatnym jestem osobą bardzo zorganizowaną i trochę perfekcjonistką. Lubię mieć zaplanowane życie, więc chyba wybrałabym Józia. On jest bardzo bezpieczną opcją. Stefcia mu się naprawdę podoba, on coś do niej czuje, chciałby z nią żyć, założyć rodzinę. Myślę, że to byłby mąż, który zapewniłby jej dobry byt i miałyby szansę być szczęśliwą. A z Antonim wszystko jest niepewne... W tamtych czasach ludzie zawierający małżeństwa znali się mniej niż my teraz. Dzisiaj narzeczeni spotykają się bardzo długo, zanim powiedzą sobie „tak”. Ja nie wzięłabym ślubu z kimś, kogo znam tak mało, jak Stefcia Antoniego. Więc myślę, że jestem raczej #team Józio. On jest mężczyzną, który jest w stanie zapewnić kobiecie bezpieczeństwo, a ja prywatnie też tego szukam w życiu i tego potrzebuję.

Józio zacznie się pojawiać częściej w serialu?

Tak, mogę już zdradzić, że będzie się pojawiał, ale nie wiem, jak często, bo – tak jak mówiłam – scenariusze są pisane na bieżąco.

Pojawią się jeszcze jacyś nowi bohaterowie

Nie wiem, czy mogę zdradzić, jacy, ale pojawi się aż czterech nowych bohaterów. I nastąpi to na przestrzeni najbliższych tygodni. Jestem bardzo podekscytowana kolejnymi nagraniami. Myślę, że jedna postać będzie zaskoczeniem... Będzie też więcej humoru, który przez miłosne rozterki Stefci zszedł na chwilę na dalszy plan.

POLKA CHWILOWO ZA WIELKIM MUREM CHIŃSKIM

Narodowe budzenie, niby-śpiwory dla motocyklistów i kosz na śmieci, którym okazała się skrzynka przeciwpożarowa. Takie obrazki z Chin zapamięta nasza dziennikarka. Oto fragmenty jej azjatyckiego pamiętnika

Katarzyna Piojda

Poniedziałek, przed południem. Po dziewięciu godzinach lotu z Warszawy wylądowałam w Pekinie, stolicy Chin. Kierowca z firmy, w której nazajutrz miałam zacząć pracę, odebrał mnie z lotniska. Zawiózł do banku, bo muszę mieć konto, skoro tymczasowo mieszkam i pracuję w Chinach. Weszłam do banku, usiadłam. Nieswojo mi się zrobiło, gdy trzy pracownice stanęły naprzeciw w służbowych garsonkach. Milczały, a wyraz ich twarzy był obojętny. Chyba czekały, aż się odezwę. Kiwnęłam jeszcze raz głową na „dzień dobry”, bo już wiedziałam, że nie mówią po angielsku (a ja po chińsku). Po paru minutach okazało się, że powinienam wskazać ręką, żeby usiadły, a tego nie zrobiłam, więc stały. Chwilę później przyszedł mężczyzna, też pracownik banku, w garniturze, przepasany niby-szarfą. Skojarzenie: wybory miss. Zaczął chodzić krokiem jak na defiladach wojskowych. To był ochroniarz.

Sztużce poszukiwane

Wtorek, wieczór. Wybraliśmy się większą ekipą, ze współpracownikami, do restauracji. Do kilku lokali zajrzeliśmy. W żadnym nie było łyżek i widelców (kierowaliśmy się właśnie tym, czy są sztucze, a nie jadalospisem, bo i tak nie rozumieliśmy, co jest napisane). Wszędzie pałeczki zamiast standardowych dla nas sztućców. Wreszcie usiedliśmy. Chcieliśmy zamówić zupy. Pomyśleliśmy, że wtedy dadzą łyżki, ale o tej porze już nie było w menu. Nałożyliśmy mięso, sałatki, surówki. Nie umieliśmy jeść pałeczkami (jedynie kulki z ziemniaków, bo można było je nadziać na pałeczki) i sporo jedzenia pospadało nam z talerzy. Próbowaliśmy nawet zacząć jeść rękami, ale głupio, bo wewnątrz były kamery, no i wielu innych gości restauracji.

Spróbowaliśmy jakoś jeść pałeczkami. Podeszła pracownica obsługi sali i na migi pokazała ze współczuciem, że trzymamy je odwrotnie. Otóż powinniśmy trzymać płaskie końce, a tymi

okrągłymi chwycić jedzenie. Zostawiliśmy sporo jedzenia na talerzach, chociaż byliśmy głodni.

Już w pokoju hotelowym wypiliśmy piwo. Złodówki. Sądziliśmy, że obsługa zostawiła jako powitalne. Okazało się, że to poprzedni goście hotelowi zapomnieli je zabrać.

A propos restauracji: kto idzie za potrzebą, ten się zdziwi, bo wcześnie jest, że go prawie nie ma. Wchodzisz do eleganckiej łazienki, zamykasz się od środka, a tam dziura w podłodze. Nie skorzystam. Wyszedłam.

Kolejka do pociągu

Na zewnątrz, znaczy na dworze, też się zdziwisz. Na większych trawnikach i na polach (widziałam, jadąc pociągami) są usypane jakby kopczyki. Na nich leżą bukiety, przykładowo kilkanaście kopczyków na jednym terenie. Wyglądają niczym groby, ale nie mają tabliczek. Skoro o pociąg wspominałam - jak ludzie czekają na pociąg, to ustawiają się w kolejce na peronie, żeby w tej kolejności podejść do drzwi pociągu.

Samochody są w Pekinie popularne, ale motorowery i sku-

terki też mają wzięcie. Zdziwiłam się, kiedy na zaparkowanych skuterach zobaczyłam coś, co przypomina kołdrę albo śpiwór, ale z rękawami. Motocykliści zakładają takie skafandry, żeby im cieplej było podczas jazdy.

Bez Michała

Środa, popołudnie. Zorientowałam się, dlaczego kobiety z obsługi stołówek na wejściu dziwnie na mnie patrzą. Na mojej karcie do odbijania w kantynie wyskakuje napis: Marcin, a przychodzę ja. Mam kartę po innym Polaku, w Pekinie pracującym i tutaj się stołującym; zapomnieli zmienić dane na moje.

A propos męskich imion: myślałam, że rano w kantynie jest jakiś Polak (oprócz lotniska, ani razu nikogo niewyglądającego jak Chińczyk nie zauważyłam). Słyszałam na obiedzie, jak ktoś do kogoś mówi „Michał”. Rozejrzałam się i nic. Okazało się, że Chińczycy mówią coś w stylu „Michao” i nawet często tego zwrotu używają. Michała brak.

W sklepach ubaw. Wszystko w ich języku. Nawet obrazki wprowadzają w błąd. Chciałam kupić. Weszłam do osiedlowego

MAMY TELEWIZORY, ALE OBKLEJONE TAŚMAMI, WIĘC UZNAŁYŚMY, ŻE TO STARE GRATY. OKAZAŁO SIĘ, ŻE TO NÓWKI, A SĄ OBKLEJONE, BO JESZCZE NIE BYŁY UŻYWANE

sklepiku. Dział napojów był obok drogerijnego. Różne smaki do wyboru. Na etykietce jednej z butelek była narysowana cytryna, na innej truskawka, dalej kokos. Wybrałam butelkę z cytryną. Ekspedientka już przy kasie wytłumaczyła mi, głównie na migi, że to płyn do mycia naczyń cytrynowy, a nie napój. Innym razem planowałam kupić paczkowane kabanosy. Dobrze przecież wyglądały. Gdy podeszłam do kasy, ekspedientka wskazała palcem jeszcze opakowanie serdelków. Tyle że na nich było zdjęcie psa. To nie była wędlina z psa, lecz dla psa, podobnie, jak kabanosy. Odłożyłam je i wyszłam.

O 6.45 w dni powszednie jest pobudka. Wtedy puszczana jest (na zewnątrz) melodia - przez

głośniki na słupach - i słychać ją przez kwadrans nawet przez zamknięte okna. Są trzy piosenki. Kojarzą mi się z jakimiś defiladami. Asystent wspominał w dzień przyjazdu o pobudce. Odpowiedziałam mu, że nie muszę wstawać tak wcześnie, skoro do pracy idę na późniejszą godzinę. Przeliczyłam się. To budzenie narodowe i w całych Chinach słychać melodię. Cały naród wstaje, więc wstaję i ja.

Podejrzany kosz

Czwartek, rano. Gdy miałam w pokoju papierki czy inne śmieci, wyrzucałam je do czernego kosza (za taki go miałam), ustawionego na korytarzu. Na dnie leżał czarny worek. Przypuszczałam, że ktoś inny wcześniej też włożył śmieci.

Pani sprzątająca uświadomiła mi natomiast, że to nie śmietnik, lecz skrzynka przeciwpożarowa, a skrzynki zaśmieczać nie wolno.

Moja grupa w chińskiej firmie liczy 90 osób. Jak skończyłam prezentację na forum, wszyscy wyszli poza jednym panem. Spał na krześle. Podeszłam i go obudziłam. Okazało się, że to jeden z szefów. Wizytatorzy mogą bez pytania przychodzić na spotkania przez nas prowadzone. To po to, żeby zobaczyć, jak prowadzimy wykłady. Przyszedł zatem i mu się przysnęło. Inni ludzie z grupy go dostrzegli. Specjalnie nie obudzili, żebym ja to zrobiła.

Czwartek, wieczorem. Gdy rano szłam na uczelnię, to jechał za mną duży biały samochód i trąbił. Kierowca dawał do zrozumienia, że bym zeszła z drogi. Szłam po chodniku i uznałam, że wystarczy mu miejsca na przejazd. Nie zeszłam. To jednak była polewaczka i cyklami lała wodę. Akurat zaczęła pryskać, gdy obok mnie przejeżdżała. Jasne, że byłam mokra.

Reakcja dziecka

Ruszyliśmy większą paczką do galerii handlowej. Czuliśmy się popularni jak Edyta Górniak w latach 90-tych. Inaczej wyglądamy, więc tutejsi robili nam zdjęcia z daleka albo podchodzili i prosili o wspólną fotkę. Nie wszystkim przypasowaliśmy. Chłopczyk w wózku dziecięcym na nas spojrzał i zaczął płakać. Chyba się wystraszył. Mama go przytuliła i uspokoiła.

Piątek, po południu. Znowu pokazałam się w stołówce. Akurat nakładałam sobie jedzenie, gdy usłyszałam, że ktoś za mną chrząka. Nie zareagowałam, ale ten ktoś znowu chrząknął. Odwróciłam się i zobaczyłam mężczyznę w garniturze. Pan marszczył nos. Dziwne uczucie, jak patrzysz na elegancika, ruszającego nosem jak królik. Okazało się, że drażni go mój zapach. Za mocno się wyperfumowałam.

Już wiem, co było z tym całym „Michałem”. Otóż „ni hao” oznacza chińskie uniwersalne „cześć”.

No to cześć. ©©



Chińskie ulice w Pekinie tętnią życiem o każdej porze dnia; każdego dnia



Książę legnicko-brzeski Jerzy IV Wilhelm

FOT. JOHANN TSCHERNING

OSTATNIA SZANSA PIASTÓW NA POLSKI TRON

Zaledwie piętnaście lat przeżył ostatni męski przedstawiciel dynastii Piastów - książę legnicko-brzeski Jerzy IV Wilhelm. Wraz z jego śmiercią skończyły się nadzieje na osadzenie Piasta na polskim tronie

Bolesław Bezeg

Wbrew obiegowej opinii ostatni Piastowie nie byli wcale całkowicie zgermanizowani, a jeśli nawet funkcjonując od 300 lat w ramach cesarstwa Habsburgów, przywykli do wszechobecnego w państwie języka niemieckiego, to wcale nie byli tym zachwyceni. Dowodzi tego postać przedostatniego księcia brzeskiego Chrystiana, którego

zyciorys mógłby posłużyć za kanwę niezłego filmu.

Książę Bogusław jak dzisiejszy Europejczyk

Matka księcia Chrystiana brandenburska księżniczka Dorota Sybilla Hohenzollem była rodzoną siostrą Elżbiety Zofii, matki znanego nam z powieści Henryka Sienkiewicza „Potop” Bogusława Radziwiłła. Sienkiewicz odmalował Bogusława jako czarny charakter. Był on

jednak po prostu europejskim magnatem niespecjalnie przywiązany do królestwa, w którym przyszło mu się urodzić i żyć, dziś zaś modniej jest powiedzieć o kimś takim, że jest Europejczykiem.

Trzeba pamiętać, że europejskie magnackie rody w większości były ze sobą na różne sposoby spokrewnione, a ich synowie odbierali podobne wychowanie. Zarówno Bogusław Radziwiłł, jak

i Chrystian brzeski, odbyli w młodości podróże po Europie. Chrystian bawił na dworach króla Francji Ludwika XIII i króla Anglii Karola I.

Po rozmaitych przygodach wrócił na Śląsk, w roku 1635 mając 17 lat. Tafił akurat na sam środek wojny 30-letniej, wobec czego ojciec wysłał go do krewnych - do Kiejdan - litewskiej siedziby rodu Radziwiłłów. Tam pod okiem wujów i ciotek uczył się w kalwińskim gimnazjum.

W tym czasie bowiem Radziwiłłowie ulegli fascynacji kalwińskim odłamem protestantyzmu, a Kiejdany stały się silnym ośrodkiem nowej religii. Radziwiłłowie oprócz kalwińskiego gimnazjum hojnie finansowali także drukarnię i liczne protestanckie publikacje.

Polskie korzenie silniejsze niż wychowanie

Chociaż protestantyzm tradycyjnie już był narzędziem germanizacji, to paradoksalnie, dla wychowanego na protestanckich dworach północnej Europy Chrystiana, stał się on drogą do odkrycia w sobie polskich korzeni i tożsamości. Gdy przyjechał do Kiejdan lepiej niż po polsku mówił po niemiecku i francusku, jednak w gimnazjum wyszlifował język polski i odtąd to nim posługiwał się najchętniej.

Kilkuletni pobyt w Kiejdanach pomógł mu także docenić swoje pochodzenie od piastowskich królów Polski. W tym czasie zaprzyjaźnił się ze swoim słynnym kuzynem Bogusławem Radziwiłłem, ale także z przyszłym królem Michałem Korybutem Wiśniowieckim. Poznał też króla Jana Kazimierza, którego żona Maria Ludwika w kilka lat później została matką chrzestną córki księcia Chrystiana.

W szwedzkiej niewoli

Po ukończeniu nauki w gimnazjum książę Chrystian wrócił na Śląsk. Tu w roku 1642 przeżył czterotygodniowe szwedzkie oblężenie. Wśród kronikarskich zapisków o księciu Chrystianie znajdujemy zapis z roku 1645, kiedy to podczas podróży po swoim księstwie dostał się do szwedzkiej niewoli.

Nie wiadomo, czy wyniósłby z niej cało swą książęcą głowę, bo Szwedzi słynęli wówczas z okrucieństwa i nieokrzesania, a na dodatek do ich uszu dotarły wieści o katolickich sympatiach księcia. Na szczęście jednemu ze sług Chrystiana udało się uciec z niewoli i dotrzeć do Brzegu. Brzescy mieszczanie szybko zorganizowali wyprawę ratunkową i odbili swojego władcę z niewoli.

Po polski tron, dla siebie lub dla syna Piasta

W roku 1668 gdy abdykował król Rzeczypospolitej Jan Kazimierz, książę Chrystian zgłosił swoją kandydaturę do polskiego tronu, jednak wycofał się gdy zorientował się, że większość szlachty go nie poprze.

14 listopada 1648 książę Chrystian poślubił Ludwikę Anhalcką, z którą miał czworo dzieci, w tym jedyną córkę Karolinę, która gdy umierała w roku 1707 była ostatnim faktycznym

przedstawicielem dynastii Piastów. Jednak to w Jerzym Wilhelmie ojciec pokładał największe nadzieje.

Zapewne licząc, że syn ten mógłby w przyszłości powalczyć o polski tron, początkowo chciał mu nadać imię Piast. Dopiero zdecydowany sprzeciw silnego w księstwie legnicko-brzeskim protestanckiego duchowieństwa zmusił go do zmiany zdania.

Zebranie pastorów uznało, że nadanie małemu księciu imienia Piast byłoby odebrane jako powrót do pogaństwa. Wszak chrześcijaństwo przyjął dopiero praprawnuk legendarnego Piasta - Mieszko I.

Pod naciskiem pastorów książę uległ i synowi nadano imiona Jerzy Wilhelm, ale ojciec uparł się, że ma być on wychowywany w polskiej tradycji, a także by od najmłodszych lat uczono go języka polskiego. Dbął też, by przyszły monarcha ubierał się zgodnie z polską modą.

Tak umarła idea powrotu Piastów na tron

Kto wie, może te ambicje udało by się z korzyścią dla Rzeczypospolitej zrealizować, jednak ambitny ojciec - książę Chrystian, całe życie będąc słabego zdrowia, zmarł na puchlinę wodną, gdy Jerzy Wilhelm miał zaledwie 12 lat - w roku 1672. Od tej pory na wychowanie księcia większy wpływ miała matka - niemiecka księżniczka z Anhalt.

Młody książę odebrał bardzo staranne wychowanie, oprócz znajomości obowiązującego na dworze języka niemieckiego doskonale władał francuskim i mało już popularną w protestanckich krajach łaciną. Rozmawiał także po włosku, hiszpańsku i po polsku. Uczył się także teologii, filozofii i retoryki. Po śmierci ojca matka wysłała go na studia do Frankfurtu, jednak musiał przerwać naukę, by objąć władzę w księstwie, gdy protestanci zaprotestowali przeciwko przedłużającej się regencji otwarcie już sympatyzującej z katolicyzmem księżnej wdowy.

W lutym 1675 r. w Wiedniu Jerzy IV Wilhelm złożył hołd cesarzowi Leopoldowi I, a 14 marca objął formalnie władzę w księstwie legnicko-wołowsko-brzeskim. Zmarł zaledwie pół roku później - 21 listopada 1675 r. w Brzegu. Oficjalnie 15-letniego księcia zabiła silna gorączka, której dostał na polowaniu. Na łowy miał pojechać mimo niedoleczonej ospy. Po jego śmierci mimo pretensji krewnych, księstwo włączono do domeny cesarskiej. Wraz z nim umarła idea przywrócenia na polski tron przedstawiciela dynastii Piastów.

POLSKA
Polska Press Grupa

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**,
Dyrektor centralnego biura reklamy **Paweł Kossek**,
Dyrektor marketingu Polska Press **Wojciech Paczyński**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Biuro Prasowe: biuroprasowe@polskapress.pl
Dyrektor kolportażu **Karol Wlazło**, Agencja AIP kontakt@aip24.pl
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC
Polska Press Grupa
Konsument

pod PARAGRAFEM

FILM

Agnes w czułych objęciach diabła

29 listopada do kin wejdzie austriacko-niemiecka „Kąpiel diabła” w reż. Severina Fiali i Veroniki Franz. Oto Agnes (Anja Plachg) bierze ślub. Ale mąż nie jest nią zbyt zainteresowany, a teściowa krytykuje ją na każdym kroku. Ponieważ jednak znajduje się na austriackiej wsi sprzed blisko trzech stuleci, wszyscy myślą, że opętał ją diabeł.

ZA TYDZIEŃ

Porządek panuje w Berezie Kartuskiej

17 czerwca 1934 r. Ignacy Mościcki wydał rozporządzenie o utworzeniu obozu w Berezie Kartuskiej. Nie było jakiegoś, ale koncentracyjnego.



Bogatingate: z dziejów afer i przekrętów rodzącej się III RP

Katarzyna Kaczorowska
redakcja@polskatimes.pl

W wyniku tej afery Skarb Państwa stracił 300 mln zł po denominacji. David Bogatin nie stanął przed polskim sądem – dostał wyrok w Stanach za inne oszustwa finansowe.

To był czas nieokreślonego zachwytu kapitalizmem. Upadek systemu był właściwie kwestią czasu, na razie jednak jako pierwsze jaskółki nowego w Polsce pojawiły się spółki joint ventures.

Jedną z takich spółek stworzył właśnie Bogatin. Jego firma opromieniona aurą prezesa, który przyjechał robić interesy w Polsce ze zgniłego Zachodu, szyła ubrania i eksportowała mrożone warzywa i owoce. Sun-Pol, bo tak się nazywała spółka biznesmena z Ameryki, szybko stała się znana, a i jej prezes w ekspresowym tempie wchodził na tworzące się salony.

W 1989 r. upadł komunizm. Ludzie niemający pojęcia o mechanizmach rynku czasem z konieczności po stracie pracy, a czasem z wyboru stawali się biznesmenami pełną gębą. Rodziły się fortuny, niekoniecznie legalnie, choć te, które przetrwały owe burzliwe początki, dzisiaj działają już bez aury, jaką dają podejrzone interesy.

Idzie nowe prawo

Bogatin doskonale wyczuł zmianę nastrojów wśród Polaków, którzy chcieli się bogacić. A w 1991 roku weszło w życie nowe prawo bankowe.

Prawo bankowe z 1975 r. ustanawiało system zbudowany z czterech podmiotów. Pierwszym był Narodowy Bank Polski – „państwowy bank emisyjny oraz centralna instytucja kredytowa, oszczędnościowa, rozliczeniowa i dewizowa”. Kolejny to Bank Gospodarki Żywnościowej obsługujący sektory rolny, spółdzielczy i leśny. Dwa pozostałe filary systemu to banki działające jako spółki akcyjne, czyli Bank Handlowy oraz Bank Polska Kasa Opieki,

które obsługiwały transakcje z zagranicą i import wewnętrzny, czyli peweksy i bony Pekao, za które w tych peweksach można było kupować dobra niedostępne na państwowym rynku.

Jak w „Dynastii”

I to prawo wykorzystał David Bogatin, którego choćby już samo nazwisko mogło się kojarzyć z bogactwem. Na początku 1991 r. amerykański biznesmen powołał do życia drugi w Polsce prywatny bank (pierwszym był BIG Bank Gdański), który nazwano Pierwszym Komercyjnym Bankiem w Lublinie.

2 lipca Telewizja Polska rozpoczęła emisję słynnego serialu amerykańskiego „Dynastia”. Serial emitowany w amerykańskiej stacji ABC od 1981 r. zastrzelał apetyty i rozbudzał marzenia o bogactwie. Polacy też chcieli szkła, chromu, marmurów, reklam – tego wszystkiego, z czym mógł się kojarzyć luksus i wielki świat.

Początek końca

Bank Bogatina taki luksus dawał. Na klientach robiły wrażenie marmury na korytarzach, podobnie zresztą jak podświetlany chodnik przed budynkiem. A jeśli jeszcze do tego reklama banku obiecywała wszystkim nadzwyczajne zyski z lokat i nisko oprocentowane kredyty, a Bogatin zapowiadał szybkie wprowadzenie banku na giełdę, to czegoż można było chcieć więcej?

Pierwszy Komercyjny Bank z siedzibą w Lublinie przyciągał nowością. W ciągu roku istnienia zbudował sieć oddziałów, zatrudnił 200 pracowników, a na koniec 1991 r. miał 800 mld starych zł na lokatach.

Bomba wybuchła, kiedy Jacek Łęski, dziennikarz lubelskiej „Gazety Wyborczej”, ujawnił, że Bogatin bogaty nie jest i że w dokumentacji banku jego kapitał został fikcyjnie podwyższony.

Panika wśród ciułaczy

Kiedy na łamach gazety opublikowano reportaż śledczy pokazujący czarno na białym,



David Bogatin (w garniturze) – bohater afery z Pierwszym Komercyjnym Bankiem z siedzibą w Lublinie

że kapitał założycielski to tak naprawdę kredyt zaciągnięty w PKO SA, dla niepoznaki przenieśli go do Austrii, wokół Bogatina zaczęło się robić gorąco. Błyskawicznie pojawiły się plotki, że rewelacyjna oferta lokat służy tylko jednemu: zbraniu jak największej ilości pieniędzy, które zostaną wywiezione z Polski jako kredyty.

Kolejną rysą w do tej pory nienagannym wizerunku Bogatina było dotarcie do informacji, że amerykański biznesmen, który miał Polaków uczyć kapitalizmu, w Stanach Zjednoczonych jest ścigany między innymi za fałszowanie dokumentów.

Trudno się dziwić, że kolejne ujawniane rewelacje wywołały panikę wśród ciułaczy, którzy ufnie oddali bankowi swoje pieniądze. Ludzi ruszyli na oddziały, żądając oddania im depozytów. I jakby tego było mało, zaledwie rok po uruchomieniu PKB Davida Bogatina zatrzymali funkcjonariusze UOP.

mieniu PKB Davida Bogatina zatrzymali funkcjonariusze UOP.

Osadzony w Otisville

Bogatina na przesłuchanie przewieziono do Lublina. Agenci UOP dotarli z nim do prokuratury, ale prokurator nie zdążył zadać mu wielu pytań, bo podejrzanego zaszła i przewieziono go błyskawicznie karetką do szpitala więziennego. Stamtąd zaś trafił do aresztu ekstradycyjnego, bo o swojego obywatela upomniały się władze amerykańskie, powołując się na układ ekstradycyjny zawarty między Polską a Stanami Zjednoczonymi w 1927 roku.

Amerykani chcieli postawić Bogatina przed sądem pod zarzutem oszustwa na ogromną wtedy z perspektywy nie tylko polskiej kwotę 7 mln dolarów. Porozumienie, na które się powoływali, nie

uwzględniało jako powodu ekstradycji przestępstw podatkowych, ale...

W 1992 r. trwały już nasze starania o przyjęcie do NATO, więc David Bogatin nie miał szans na postawienie go przed polskim wymiarem sprawiedliwości. I wydano go Amerykanom. W maju 1992 r. został skazany na karę od ośmiu do 13 lat odsiadki. Osadzony został w więzieniu stanowym w Otisville.

Sprawa Falzmanna

Jerzy Przystawa, fizyk i opozycjonista, razem z Mirosławem Dakowskim w początkach lat 90. wydali książkę o tajemniczej wtedy śmierci Michała Falzmanna, inspektora NIK, który oficjalnie zmarł na zawał. Książka „Via Bank i FOZZ” sugerowała, że Falzmann został zamordowany, bo odkrył aferę związaną z Funduszem Obsługi Zadłużenia Zagranicznego.

Falzmann próbował przekazać władzom, politykom i dziennikarzom informacje o defraudacji zasobów finansowych Polski. 16 lipca 1991 r. skierował do dyrektora Oddziału Okręgowego NBP w Warszawie pismo w tej sprawie i tego samego dnia Anatol Lawina, dyrektor Zespołu Analiz Systemowych NIK, przedstawił mu polecenie prezesa Izby, prof. Waleriana Pańki, o odsunięciu go od wszelkich czynności kontrolnych prowadzonych przez zespół. Dwa dni później Falzmann zmarł.

Olczak w więzieniu

Nowy dyrektor lubelskiego banku, Tadeusz Olczak, po przeczytaniu książki Dakowskiego i Przystawy uświadomił sobie, że w przejętym przez niego banku pracował Jan Rejent, były dyrektor Departamentu Dewizowego Ministerstwa Finansów, którego w 1989 roku wysłano do Londynu jako przedstawiciela FOZZ. Falzmann przypisywał mu współodpowiedzialność za zaginięcie 90 tys. funtów szterlingów, a w zarządzie banku Bogatina

Rejent odpowiadał za jego restrukturyzację.

Olczak nie wiedział, jakie będą skutki jego decyzji. Nie miał też pojęcia, z kim zadarł, kiedy zdecydował się odwołać cały zarząd (oczywiście razem z Janem Rejentem). W lutym 1993 r. Tadeusz Olczak został wezwany do siedziby Urzędu Ochrony Państwa. Owszem, do budynku wszedł, ale zatrzymano go pod zarzutem kradzieży 348 samochodów. W areszcie spędził kilka miesięcy. Dopiero po kilkunastu latach sąd prawomocnie Tadeusza Olczaka uniewinnił od zarzutów kradzieży.

Gdy właściciel banku siedział, na wniosek Ewy Śleszyńskiej z Generalnego Inspektoratu Nadzoru Bankowego prezes NBP Hanna Gronkiewicz-Waltz ustanowiła w Pierwszym Komercyjnym Banku w Lublinie zarząd komisaryczny.

Bank państwowy

Przewodniczącym zarządu komisarycznego Gronkiewicz-Waltz mianowała Jana Rejenta. I tu zaczynają się schody, bo Tadeusz Olczak i wtedy, i dzisiaj dałby sobie głowę obciąć, że w 1993 r. doszło do wrogiego przejęcia banku. Tak czy siak, zarząd komisaryczny spłacił zobowiązania Bogatina i dysponował 52,5 proc. akcji własnych banku. W czerwcu 1993 r. akcje te zostały unieważnione, ponieważ nie sprzedano ich w przewidzianym prawem terminie. I tak głównym akcjonariuszem stał się Tadeusz Olczak.

Kilka miesięcy później przeprowadzono jednak operację mającą na celu obniżenie kapitału akcyjnego i zasilenie kapitału zapasowego banku. I wyemitowano ponad 6 mln nowych akcji, które objął NBP, stając się właścicielem 99 proc. kapitału akcyjnego. Dopiero miesiąc później zgłoszono do sądu zmianę statutu banku umożliwiającą przeprowadzenie operacji, która oficjalnie miała ochronić klientów, a w praktyce oznaczała upaństwowienie Pierwszego Komercyjnego Banku w Lublinie.

PKO Ekstraklasa Raków ograł Widzew i zbliżył się do liderującego Lecha

W Katowicach przed meczem z Lechią pożegnano legendę

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Raków Częstochowa okazał się lepszy od Widzewa Łódź i przybliżył się do liderującego Lecha Poznań, który zaledwie zremisował z Piastem Gliwice. W Katowicach pożegnano śp. Jana Furtoka.

Raków potwierdził, że jest najskuteczniejszą w lidze drużyną na wyjazdach. W Łodzi przegrywał już od trzeciej minuty, ale jeszcze przed przerwą, m.in. po efektywnym trafieniu Hiszpana Iwiego Lopeza, prowadził 2:1. Później było 2:2 po ósmym w sezonie golem Imada Rondica, ale ostatnie słowo - dosłownie i w przenośni - należało do piłkarzy trenera Marka Papszuna.

W samej końcówce zwycięstwo drużynie spod Jasnej Góry zapewnił Jonatan Braut Brunes, czyli kuzyn napastnika Manchesteru City Erlinga Haaland. Norweg wyskoczył najwyżej w powietrzu i mocnym strzałem głową zapewnił drużynie trzy punkty. Choć sam trener Papszun tonował nastroje. Przyznał, że remis na tak trudnym terenie, jakim bez wątpienia jest stadion przy alei Piłsudskiego, nie jest wcale takim złym rezultatem.

- Dążyliśmy do tego, żeby wygrać, wyglądaliśmy lepiej mentalnie, motorycznie i w konsekwencji zdobyliśmy gola. To dążenie do zwycięstwa mojego zespołu bardzo mi się podobało, bo remis na tym terenie nie był wcale taki zły. Ale determinacją i postawą zasłużyliśmy na to, żeby wygrać - tłumaczył Papszun.



Minuta ciszy dla byłego piłkarza GKS Katowice i reprezentacji Polski śp. Jana Furtoka

Tym samym „Medaliki” zbliżyły się na 3 punkty do liderującego Lecha Poznań. Kolejorz zaliczył natomiast wpadkę i po bezbarwnym meczu w wykonaniu piłkarzy Nielsa Frederikseny zanotowali bezbramkowy remis z Piastem Gliwice.

Po meczu grzmiał trener Niels Frederiksen, który określił go mianem najgorszego w wykonaniu swoich podopiecznych: - Nie przesadzę, jeśli powiem, że to był jeden z naszych najgorszych meczów w tym sezonie, zwłaszcza w pierwszej połowie. Brakowało nam jakości. Piast bronił bardzo ciasno, nie zostawiał nam przestrzeni - rozpoczął Frederiksen. - W drugiej połowie się poprawiliśmy, szczególnie w ostatnich 20 minutach. Staraliśmy się przechrzcić szalę zwycięstwa na naszą

korzyść. Wynikiem jesteśmy zadowoleni. Mówi się, że jeśli nie umiesz wygrać, trzeba się zadowolić jednym punktem, ale dla nas to nie jest zadowalające rozstrzygnięcie - zakończył duński szkoleniowiec.

GKS Katowice w drugim sobotnim meczu lepszy okazał się od Lechii Gdańsk w spotkaniu tegorocznych beniaminków. Przed nim miała miejsce podniosła chwila przy Bukowej. Uczczono pamięć śp. Jana Furtoka, który odszedł od nas w tym tygodniu i którego pogrzeb odbył się dzień przed meczem 17. kolejki Ekstraklasy. Podniosłej atmosfery towarzyszyła na stadionie przy Bukowej: kartoniada upamiętniająca wybitnego reprezentanta kraju, a także wyjątkowa oprawa.

Mecz zakończył się zwycięstwem „GieKSy” 2:0 po golach Arkadiusza Jędrzycy i Sebastiana Bergiera. W Lechii pechowy debiut na ławce trenerskiej zaliczyli Radosław Bella i Kevin Blacwell, a na trybunach przy Bukowej zmagania śledził nowy następca zwolnionego Szymona Grabowskiego - John Carver.

Duet trenerski Michał Hetel i Marcin Dymkowski nie odmienił gry Śląska Wrocław, który przegrał w ich drugim meczu, a pierwszym przy własnej publiczności z Puszczą Niepołomice. W pojedynku Cracovii z Zagłębiem Lubin padł remis 1:1 po golach 16-letniego Fabiana Bzdyla i byłego reprezentanta Polski oraz dawnego obrońcy Crystal Palace, Jarosława Jacha w końcówce spotkania.

Polska
Poniedziałek, 2.12.2024

17. KOLEJKA EKSTRAKLASY

CRACOVIA - ZAGŁĘBIE LUBIN 1:1
Bramki: Bzdyl 10 - Jach 90+3

WIDZEW ŁÓDŹ
- RAKÓW CZĘSTOCHOWA 2:3
Bramki: Sypek 3, Rondić 56 - Silva 5, Lopez 39, Brunes 90+4

GKS KATOWICE - LECHIA GDAŃSK 2:0
Bramki: Jędrzych 14, Bergier 43

ŚLĄSK WROCŁAW
- PUZZA NIEPOŁOMICE 0:1
Bramka: Cholewiak 66

PIAST GLIWICE - LECH POZNAŃ 0:0

KORONA KIELCE - GÓRNIK ZABRZE 2:4
Bramki: Dalmau 83, Fornalczyk 87 - Łukoszek 49, 59, Ambros 78, Ismaheel 82

POGOŃ SZCZECIN
- JAGIELLONIA BIAŁYSTOK 1:1
Bramki: Koulouris 14 - Imaz 54

Tabela PKO BP Ekstraklasy:

1. Lech Poznań	17	38	32:12
2. Raków Częstochowa	17	35	23:9
3. Jagiellonia	17	34	31:24
4. Cracovia	17	30	36:28
5. Legia Warszawa	16	28	31:21
6. Górnik Zabrze	17	27	24:19
7. Pogoń Szczecin	17	26	25:21
8. Motor Lublin	16	24	24:28
9. GKS Katowice	17	22	26:24
10. Widzew Łódź	17	22	22:24
11. Piast Gliwice	17	21	18:18
12. KGHM Zagłębie Lubin	17	19	16:24
13. PGE FKS Stal Mielec	16	18	16:20
14. Puszcza Niepołomice	17	17	16:25
15. Korona Kielce	17	17	15:27
16. Radomiak Radom	15	16	20:23
17. Lechia Gdańsk	17	11	17:33
18. Śląsk Wrocław	16	10	13:25

Terminarz 18. kolejki

Piątek (6 grudnia):

Radomiak Radom - GKS Katowice (godz. 18.00),
Piast Gliwice - Lech Poznań (godz. 20.30).

Sobota (7 grudnia):

Lechia Gdańsk - Śląsk Wrocław (godz. 14.45),
Widzew Łódź - Stal Mielec (godz. 17.30), Raków
Częstochowa - Motor Lublin (godz. 20.15).

Niedziela (8 grudnia):

Piast Gliwice - Cracovia (godz. 12.15),
Jagiellonia Białystok - Puszcza Niepołomice
(godz. 14.45), Legia Warszawa - Zagłębie Lu-
bin (godz. 17.30).

Poniedziałek (9 grudnia):

Korona Kielce - Pogoń Szczecin (godz. 19.00).

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

11 goli

Benjamin Kallman (Cracovia), Efthymios Koulouris (Pogoń)

10 goli

Mikael Ishak (Lech), Jesus Imaz (Jagiellonia),
Leonardo Rocha (Radomiak)

8 goli

Samuel Mraz (Motor), Imad Rondić (Widzew)

6 goli

Bartosz Kapustka (Legia), Adrian Dalmau (Jagiellonia), Michalis Kossidis (Puszcza)

BOHATER WEEKENDU

Kamil Łukoszek

(Górnik Zabrze)
Ofensywny piłkarz Górnika był bezapelacyjnie bohaterem meczu z Koroną Kielce. Łukoszek strzelił dwa pierwsze gole w tym spotkaniu, pomagając swojej ekipie w zgarnięciu trzech punktów. Dla Polaka były to bramki numer dwa i trzy w bieżącym sezonie PKO BP Ekstraklasy.



FOT. PAP/PIOTR POLAK

Lech traci punkty w Ekstraklasie. Legia i Jagiellonia w czołówce Ligi Konferencji

Zbigniew Czyż

zbigniew.czyz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Rozmawiamy z Marcinem Baszczyńskim, byłym reprezentantem Polski, ekspertem Canal+ Sport.

Gdyby ktoś powiedział przed startem tegorocznej edycji Ligi Konferencji, że po czterech kolejkach dwa polskie zespoły będą zajmować drugie i trzecie miejsce

bez żadnej porażki chyba nie zostałaby potraktowany poważnie?

To ogromne zaskoczenie, ale przyznam, że gdy poznaliśmy już ich rywali, to liczyłem na dobre wyniki. Nie śniło się mi jednak, że będzie tak dobrze. Wielkie brawa.

Legia wygrała cztery mecze, ustępuje prowadzącej Chelsea Londyn tylko gorszym bilansem bramek, choć nie straciła nawet jednego gola. Wyczyn godny podziwu?

Jak najbardziej. Zarówno Legia jak i Jagiellonia prezentują bardzo dobre przygotowanie do pucharów, realizując cele.

Legia łączy grę na kilku frontach, nie „odpuszcza” żadnego meczu w Lidze Konferencji, ale odbija się to trochę na postawie w Ekstraklasie, gdzie traci całkiem sporo do lidera Lecha Poznań. Będzie gonić „Kolejorza”?

Legia będzie robić swoje i nie zrezygnuje z walki o trofeum na żadnym polu. Pytaniem

pozostaje, czy inne zespoły utrzymać rewelacyjną formę z początku sezonu. Myślę tutaj zwłaszcza o Lechu. O Legię jestem spokojny, nie odpuszcę, będzie walczyć i próbować odrobić straty. Kadra zespołu z Łazienkowskiej została tak skonstruowana, aby walczyć z powodzeniem na wszystkich frontach, w pucharach, Ekstraklasie, Pucharze Polski.

Na uwagę zasługuje też postawa Jagiellonii, trzy zwycię-

stwa w Europie i tylko jeden remis, w Ekstraklasie również znajduje się w ścisłej czołówce.

W tym sezonie Jaga i trener Adrian Siemieniec mieli trudny moment, serię czterech porażek i wszyscy się zastanawiali, jak dalek sobie poradzi. Trener udowodnił jednak, że potrafi sobie w kryzysie bardzo dobrze radzić. Zmodyfikował taktykę drużyny, ale nie odebrał jej DNA. Jagiellonia gra atrakcyjnie, atakuje dużą liczbą piłkarzy.

Lider z Poznania zremisował w 18. kolejce Ekstraklasy w Gliwicach z Piastem 0:0. To był jeden z najsłabszych meczów Lecha w tym sezonie?

Oglądając to spotkanie na żywo, przecierałem oczy ze zdziwienia. Tak słabego grającego Lecha, monotonnie, przeżył dla rywala nie widziałem w tej rundzie. Oczywiście słabsze mecze już się mu przytrafiły, chociażby w Pucharze Polski czy z Puszczą Niepołomice, ale z Piastem Lech zagrał słabo.

W Wiedniu Polki będą bronić zaliczki z Gdańska

Paweł Stankiewicz
redakcja@polskapress.pl

We wtorek w Wiedniu o godzinie 18.15 reprezentację Polski czeka rewanżowy mecz z Austrią drugiej rundy baraży o awans do mistrzostw Europy kobiet 2025 w Szwajcarii.

Reprezentantki Polski sprawiły miłą niespodziankę i pokonały Austrię 1:0 na stadionie Polsat Plus Arena Gdańsk w pierwszym meczu barażowym. Zwycięskiego gola strzeliła Natalia Padilla-Bidas.

Polki nie były faworytkami w rywalizacji z Austriaczkami. To rywalki są wyżej notowane w rankingu FIFA, a w tym roku dwukrotnie ograły Białą-Czerwoną po 3:1 w dywizji A Ligi Narodów.

Nina Patalon, selekcjonerka reprezentacji Polski, postawiła na dwie szybkie skrzydłowe, czyli Natalię Padillę-Bidas i Nadię Krezyman, które miały wspierać Ewę Pajor w poczynaniach ofensywnych. Widać, że nasza drużyna odrobiła pracę domową, bo tym razem to był wyrównany mecz, a Polki go wybiegały i zo-

stawiały serce na boisku. Już na początku spotkania bramkę powinna strzelić Adriana Achcińska, ale posłała futbolówkę tuż obok słupka. W 37 minucie Biała-Czerwona przeprowadziła kolejną dobrą akcję, w której Pajor była faulowana w polu karnym. Naszej drużynie należało się rzut karny. Sędzina z Hiszpanii popełniła błąd i Polki nie stanęły przed świetną szansą na objęcie prowadzenia. Austriaczki szukały swoich szans, ale nasza reprezentacja była bardzo dobrze zorganizowana w defensywie, a w bramce pewnie spisywała się Kinga Szemik.

Druga połowa zaczęła się idealnie dla drużyny prowadzonej przez trenerkę Patalon. W 57 minucie znakomicie kontre zaczęła Ewelina Kamczyk, która zagrała na czystą pozycję do Ewy Pajor. Piłkarka Barcelony pognęła na bramkę i podała do Natalii Padilli-Bidas, a ta strzeliła w kierunku bramki. Sytuację próbowała jeszcze ratować Marina Georgieva, ale nie zdołała wybić piłki, kierując ją do własnej bramki. W zespole Polek zapanała ogromna i w pełni zasłużona radość. Sześć minut później mogło być jeszcze piękniej, ale



Adriana Achcińska w walce o piłkę z Sarah Zadrazil w meczu Polska - Austria w Gdańsku

tym razem zabrakło szczęścia. Świetnie zagrała Tanja Pawollek, z piłką na bramkę rywalek ruszyła Pajor, ale trafiła w słupek.

W końcówce meczu Austriaczki ruszyły do bardziej zdecydowanych ataków, ale nasze zawodniczki broniły się mądrze i konsekwentnie, nie zapominając przy tym o wyprowadzaniu

kontr. W efekcie Polki skazywane na pożarcie pokazały pazur i zasłużenie wygrały pierwszy mecz finałowy w barażach o awans na mistrzostwa Europy.

To jednak dopiero połowa drogi. We wtorek spotkanie rewanżowe w Wiedniu i tam Biała-Czerwona będzie bronić jedyną bramkową zaliczki.

– Wiedzieliśmy, że to będzie całkiem inny mecz, bo dorosłyśmy piłkarsko i nie będzie z nami łatwo. To była tak samo dobra Austria jak we wcześniejszych spotkaniach, jednak w tym meczu to my byliśmy lepsze niż w poprzednich występach. Poza tym w Gdańsku wspierali nas świetni kibice. To był nasz dwu-

nasty zawodnik – przyznała Adriana Achcińska.

Piłkarka 1. FC Koeln nie kryła, że spotkanie z Austrią Białą-Czerwoną musiały najpierw rozegrać sobie w głowie. – Walczymy o swoje marzenia. Nasza koncentracja i wiara w siebie była inna. Każda zawodniczka uwierzyła, że możemy wygrać ten mecz i uważam, że mental był dziś głównym powodem, dla którego tak dobrze wyglądałyśmy. Dzięki temu jesteśmy jedną nogą w finałach – zauważyła.

22-latką zapewniła, że polska drużyna jest bardzo dobrze zbudowana i poukładana. – Zespół jest zbilansowany i stabilny w każdej formacji. Mamy bardzo dobre ofensywne zawodniczki, ale jesteśmy także odpowiednio ułożone w tyłach. Na tym zwycięstwie zaważyła siła drużyny.

Achcińska uznała, że w rewanżu kluczowe będą dwie kwestie: – Trzeba wierzyć, że jesteśmy w stanie ponownie odnieść zwycięstwo. Musimy również trzymać się planu i to bez względu na to, co będzie się działo na murawie. Wiemy, jak grać w piłkę i jestem przekonana, że we wtorek to my będziemy rozdawać karty – podsumowała.

Dziekanowski: Zostałem odsunięty przez prezesa PZPN, bo miałem swoje zdanie

Rozmawiał Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Dariusz Dziekanowski jest mocno zawiedziony kadrami prowadzoną przez Michała Probiezera. Uważa, że mamy znacznie lepszych zawodników niż Szkocja, która pokonała nas w Warszawie.

Dariusz Dziekanowski, 63-krotny reprezentant Polski, uczestnik finałów piłkarskich mistrzostw świata 1986 w Meksyku, stracił funkcję przewodniczącego Klubu Wybitnego Reprezentanta po publicznej krytyce gry drużyny narodowej kierowanej przez Michała Probiezera.

Prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej Cezary Kulesza, biorąc stronę selekcjonera - byłego trenera Jagiellonii Białystok z czasów rządów w Jadze Kuleszy - pozbawił „Dziekana” funkcji szefa Klubu Wybitnego Reprezentanta, delegując na nią pełniącą obowiązki Piotra Świerczewskiego. Co Dariusz Dziekanowski myśli o naszej reprezentacji?

Reprezentacja Polski powinna osiągać lepsze wyniki? Ma ku temu piłkarzy. Niestety, nie mamy zespołu, a trener nie potrafi wydobyć z podopiecz-

nych to, co potrafią, brakuje wizji, jak poukładać te klocki. Doszły mnie słuchy, że niektórzy uważają mnie za krytyka Michała Probiezera, ja się z tym nie zgadzam, po prostu wyrażam swoją opinię, odnoszę się do faktów. W eliminacjach Mistrzostw Europy pod wodzą obecnego selekcjonera nie byliśmy w stanie ograć u siebie Mołdawii i Czechów, a baraż z Walią przebrnęliśmy nie oddając w Cardiff celnego strzału na bramkę. Z Euro w Niemczech odpadliśmy jako pierwsi, spadamy z najwyższej dywizji Ligi Narodów i jeszcze słyszymy, że drużyna robi postępy. Takie gadanie to policzek dla kibiców, byłych reprezentantów Polski, ludzi mających własne zdanie. Dziekanowski jest niewygodny, dlatego też przestał być Przewodniczącym Klubu Wybitnego Reprezentanta. Tego nie rozumiem, bo to funkcja społeczna, nie pojmuję, że można grzebać w historii i wtrącać się w działalność autonomicznej jednostki. To jakby nagle Włodzimierza Lubańskiego, Antka Szymanowskiego usunąć za krytykę, przekreślając ich dorobek w drużynie narodowej. Nie jestem klakierem, zawsze wyrażam swoje zdanie, dlatego pewnym osobom nie



Dariusz Dziekanowski jako szef Klubu Wybitnego Reprezentanta PZPN doradzał Rafałowi Trzaskowskiemu

będę pasował. To jak mnie potraktowano z Klubem Wybitnego Reprezentanta jest przykre, ale ja nie robiłem wstydu polskiej piłce i zawsze będę kibicem, czy się komuś podoba, czy nie.

Mamy lepszych piłkarzy od Szkotów?

Oczywiście, że tak, ale oni przewyższali nas organizacją gry, charakterem. Nasza de-

fensywa wygląda tragicznie, nie pasuje nam ustawienie z trójką obrońców, trener nie zbudował pomocy, a jak brakuje „Lewego”, nie ma kto strzelać goli. Parę miesięcy temu powiedzieliśmy, że z kadrą rozstanie się Wojciech Szczesny i trzeba było już postanowić, kto będzie numerem jeden. Rotowanie na tak niewralgicznej pozycji, jak bramka w Lidze Narodów też

mi się nie podoba. Łukasz Skorupski - jedynka, Marcin Bułka - dwójka, a oczywiście, jak jego konkurent będzie się znajdował w słabszej formie, ma być gotowy do wskoczenia między słupki. Odniosłem wrażenie, że trener Probiez chce dać każdemu pogrą, ale od tego są Orliki, nie reprezentacja Polski, zbyt poważna drużyna, której prestiż w ostatnich latach mocno nadszarpnięto.

Widać jakieś podstawy do optymizmu, jeśli chodzi o naszą reprezentację?

Mecze można przegrywać, wygrywać, ale zawsze chciałybyśmy widzieć stuprocentowe zaangażowanie, sportową złość, ambicję. W ekipie Probiezera nie zauważyłem ducha zespołu, atmosfery, widać to na pierwszy rzut oka. Jeżeli po przegranym spotkaniu na Euro z Austrią wmawia się wszystkim, że jest dobrze, to samo powtarza się po spadku w Lidze Narodów, brakuje aż słów. Zaraz każą nam się cieszyć z porażek i trzeba bić brawa za pozytyw i zmierzanie w dobrym kierunku, co oczywiście nie ma miejsca. Naprawdę ośmieszamy się na każdym kroku - spor-

towo, wizerunkowo, a reprezentacja Polski pikuje w dół. Chciałbym być optymistą, póki co to pobożne życzenie.

Zmarł pan kolega z kadry Jan Furtok. Jak pan go będzie wspominał?

Z Jasiem znaliśmy się 46 lat, bodajże w Oławie spotkaliśmy się pierwszy raz na zgrupowaniu kadry juniorów. Tam było kilkadziesiąt osób, sporo późniejszych reprezentantów seniorów. Wówczas przebiło się do kolejnej tury około dwudziestu graczy, w tym ja i Janek. Chyba razem graliśmy w kadrze juniorów pierwszy raz przeciwko NRD. Dobrze się z nim grało, był przebojowy, miał ciąg na bramkę, podpierał to wyszkoleniem techniki. Później Furtok został gwiazdą polskiej ligi, błyszczał w Bundeslidze w Niemczech, szanowano go. Janek należał do piłkarzy, którzy decydowali o losach meczów. Szkoda, że oboj nie spełniliśmy się w pierwszej reprezentacji, na co wpływ miało wiele czynników. Na przełomie lat 80. i 90. w naszym futbolu panował bałagan, analogie nasuwają się same. A Janka bardzo mi żal i chciałbym przekazać jego najbliższemu kondolencje.

Skoki narciarskie Obiecujący występ Polaków w Pucharze Świata w Ruce

PROGRES POLSKICH SKOCZKÓW

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

Drugi weekend z Pucharem Świata w Ruce dostarczył naszym kibicom więcej emocji niż pierwszy. Najlepszy z Polaków Dawid Kubacki zajął w niedzielę 10. miejsce.

Po inauguracji w Lillehammer był niedosyt. Po pierwszym starcie w Ruce niby poprawa jest symboliczna (13. lokata Zniszczoła to tylko o jedną pozycję poprawiony najlepszy wynik w sezonie), ale rywalizacja miała inny charakter.

W Ruce tradycyjnie sporo mieszała wiatr. Piątkowe kwalifikacje przełożono na sobotę, a i tego dnia nie było łatwo. Sam konkurs przebiegał w miarę sprawnie, z tym, że niektórzy nie mieli szczęścia do warunków. W tym Wąsek, który po błędzie na progu i bocznym podmuchu musiał ratować się przed upadkiem. Skoczył ledwie 75,5 m i był ostatni. Odpadli też Dawid Kubacki (33.) i Jakub Wolny (42.).

Do drugiej serii awansowało tylko dwóch Polaków. Kamil Stoch był 16., Aleksander Zniszczoł 4., ze stratą tylko 0,3 pkt do „pułki”. Decydujące skoki obu były jednak dużo gorsze: Stoch poleciał na 27. pozycję, a z walki drugiego z naszych reprezentantów o podium nic nie wyszło, wypadł nawet z „10”.

Niedzielne skoki takich problemów z wiatrem nie miały, jak



Aleksander Zniszczoł w sobotnim konkursie PŚ w Ruce okazał się najlepszy z Polaków

to było w sobotę. Po kwalifikacjach nastroje w polskiej ekipie nie były jednak zbyt dobre. Nie wszystkim naszym zawodnikom udało się dostać do głównego konkursu. Wolny nie dość, że skoczył słabo, to wkrótce został zdyskwalifikowany na nie-regulaminowy kombinizon.

Wyniki pozostałych wielkiego wrażenia nie robiły: 21. miejsce zajął Paweł Wąsek, 23. był Aleksander Zniszczoł, 28. Dawid Kubacki, 41. Kamil Stoch.

Pierwsza seria układała się po naszej myśli. Wyniki w Ruce

były takie, że długo można było liczyć na awans do „30” aż czterech Polaków, co - patrząc na wcześniejsze skoki w bieżącym PŚ - byłoby bardzo dobrym osiągnięciem. Swoje zrobili Kubacki (10. lokata), Stoch (14.) i Wąsek (15.), uzyskując przepustkę w stylu nawet wyraźnie powyżej średniej z tego sezonu.

Skok Zniszczoła do drugiej serii miał być formalnością, ale ta próba naszemu zawodnikowi nie wyszła.

Im dłużej trwały zawody, tym przerwy były częstsze

i dłuższe. Na przykład Paweł Wąsek dwa razy ściągnięty został z belki startowej. Należało się też liczyć z tym, że zawody zostaną przerwane, a z końcowe wyniki uznane się te po pierwszej serii. To dla Polaków byłaby statystycznie dobra informacja. Tak też się stało, żaden z naszych zawodników nie oddał drugiego skoku.

Tym sposobem nasza ekipa zaliczyła najlepszy wynik w sezonie. A ze zwycięstwa cieszył się Wellinger. ©©

Macierzyństwo posłużyło. Chiński prezent królowej

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Świetnie rozpoczął się sezon 2024/2025 dla naszego snowboardu. W inauguracyjnych zawodach Pucharu Świata Aleksandra Król-Walas zajęła 2. miejsce w slalomie gigantów równoległym.

Po raz pierwszy w historii, chiński ośrodek sportów zimowych - Harqin Banner Mylin Valley, położony w regionie Mongolia Wewnętrzna, podjął się organizacji zawodów Pucharu Świata w snowboardzie. Na tyle pomysłnie dla nas, że Aleksandra Król-Walas zajęła drugie miejsce w slalomie gigantów równoległym!

Tym samym, dla 34-letniej zakopianki, trzykrotnej olimpijki, to największy sukces w karierze w tej konkurencji. W slalomie równoległym już raz wygrała zawody Pucharu Świata (14 stycznia 2022 roku w austriackim Simonhöhe) i również była 3-krotnie druga (23 lutego 2013 roku w Moskwie, 8 stycznia 2019 roku w Bad Gastein i 15 grudnia 2022 roku w Carezza).

Ponadto, 10 grudnia 2022 roku, w niemieckim Winterbergu zajęła 3. miejsce w rywalizacji drużynowej, wspólnie z Oskarem Kwiatkowskim.

Dla Aleksandry Król-Walas był to pierwszy start po przerwie macierzyńskiej - 30 grudnia ubiegłego roku urodziła bowiem córeczkę Hanię.

W Chinach, nasza snowboardzistka, przegrała w finale z niesamowitą Czeszką Ester Ledecką - pierwszą kobietą, która na jednych zimowych igrzyskach olimpijskich zdobyła dwa złote medale w dwóch różnych konkurencjach zimowych (rok 2018 - Pjongczang: narciarstwo alpejskie i supergigant oraz snowboard i slalom gigant równoległy)!

Już w kwalifikacjach Ola Król-Walas była druga za Ledecką. W tej fazie rywalizacji odpadła, niestety, druga z naszych pań - Maria Bukowska-Chyc.

W fazie pucharowej, Polka spisywała się znakomicie. Rozpoczęła od zwycięstwa nad Włoszką Jasmin Coratti o 0.18 sekundy, a w ćwierćfinale o 0.52 sekundy wyprzedziła drugą z reprezentantek Italii - Elisę Caffont.

W półfinale zdominowała natomiast Koreankę z Południa - Jeong Haerim i wygrała z ogromną przewagą 3.41 sekundy.

Finał, ubiegłoroczna brązowa medalistka mistrzostw świata (Bakuriani), przejechała dobrze, jednak Ledecka - dwukrotna mistrzyni olimpijska w tej konkurencji, od początku narzuciła szybkie tempo i zbudowała przewagę. Na mecie okazało się, że jest szybsza od Polki aż o 1.67 sekundy...

Trzecie miejsce zajęła Japonka Tsubaki Mikki - mistrzyni świata z... Bakuriani.

W rywalizacji mężczyzn, Oskar Kwiatkowski pożegnał się z zawodami w ćwierćfinale, po minimalnej porażce z Koreańczykiem Kim Sangkyum. Różnica między zawodnikami była tak mała, że o zwycięstwie decydowała fotokomórka.

Z kolei, Maryna Gąsienica-Daniel zajęła 11. miejsce w zawodach Pucharu Świata w slalomie gigantów, których gospodarzem było amerykańskie Killington. To jej najwyższe miejsce w tej rangi zawodach od marca 2023 roku.

Startująca po raz pierwszy w tym sezonie druga z naszych alpejek - Magdalena Łuczak nie ukończyła pierwszego przejazdu.

Prowadząca na półmetku, zmierzająca po 100. zwycięstwo w cyklu Pucharu Świata Amerykanka Mikaela Shiffrin nie ukończyła drugiego przejazdu. ©©

Dziewiąte miejsce polskiej sztafety w biathlonie

Filip Bares
redakcja@polskapress.pl

Joanna Jakiela, Kamila Żuk, Konrad Badacz i Jan Guńka zajęli w Kontiolahti dziewiąte miejsce w rywalizacji sztafet mieszanych w inauguracyjnej rundzie Pucharu Świata w biathlonie

Zwyciężyli Norwegowie, minimalnie szybsi od Francuzów, a na trzeciej pozycji zawody ukończyli Szwedzi.

To najlepszy występ biało-czerwonych w tej konkurencji od zawodów w Pokljuce w sezonie 2022/23, gdzie zajęli ósmą lokatę, wówczas w składzie z Marcinem Zawołem zamiast Badacza. Do zwycięzców polska czwórka straciła w sobotę ponad cztery minuty, miała łącznie 10 niecelnych strzałów i zero karnych rund.



W weekend odbyły się pierwsze zawody Pucharu Świata sezonu 2024/2025 w biathlonie, w fińskim Kontiolahti

Z ostatniego strzelania Guńka wybiegł nawet na siódmej pozycji, ale na finiszu dał się wyprzedzić Czechowi Michalowi Krčmarowi oraz Finowi Ollemu Hiidensalo.

Norwegowie, których zwycięstwo nie jest zaskoczeniem, wy-

startowali w składzie: Karoline Offigstad Knotten, Ingrid Landmark Tandrevold, Johannes Dale-Skjevda i Vebjoern Soerum. Zabrakło zatem pięciokrotnego triumfatora klasyfikacji generalnej Johannes Thingnesa Bø i jego starszego brata Tarjeia.

Francuzi stracili do Skandynawów 0,8 s, a Szwedzi - ponad 20 s.

Wcześniej w sobotę odbyły się pierwsze zawody sezonu. Wygrali Szwedzi, którzy startowali w składzie Ella Halvarsson i Sebastian Samuelsson, a linię finiszu osiągnęli w czasie 36.17,6. W sumie mieli cztery doładowania.

Dwie następne drużyny na metę wpadły niemal równocześnie, tracąc 10,2 s. Minimalnie lepsi okazali się Francuzi, Julia Simon i Quentin Fillon Maillet, którzy wyprzedzili Niemców, Vanessę Voigt i Justusa Strelowa.

Polski duet Natalia Sidorowicz i Andrzej Nędza-Kubaniec zakończył rywalizację na 18. na 22. sklasyfikowane zespoły. Biało-czerwoni stracili do triumfatorów 2.59,2 i skorzystali z 13 doładowań. ©©



Aleksandra Król-Walas zajęła drugie miejsce w slalomie gigantów równoległym w inauguracyjnych zawodach PŚ

Śpiewające męczarnie w Bazylei

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Wygrana i porażka - to bilans występów reprezentacji Polski na mistrzostwach Europy szczyptornistek. Dzisiaj mecz z Hiszpankami - i tylko wygrana da nam awans do rundy zasadniczej turnieju...

Za nami dwa spotkania 16. edycji zmagania o prymat piłkarek ręcznych na Starym Kontynencie. I niestety, mamy mieszane uczucia...

To, że Polki wysoko uległy aktualnym mistrzyniom świata i wicemistrzyniom olimpijskim z Paryża (22:35), można było przewidzieć. Pretensje można jednak mieć do postawy i stylu gry podopiecznych trenera Arne Senstada... Brak koncentracji, brak wiary w końcowy sukces, niemoc i nostalgia.

Do przerwy 10:18! Bramkarka, Adrianna Płaczek - jedyna nasza zawodniczka z... ligi francuskiej, pierwszą udaną interwencję zaliczyła dopiero w 41. minucie.

Dla porównania bramkarki trenera Sebastiena Gardillou - Laura Glauser (do przerwy grała z blisko 45-procentową skutecznością, MVP meczu) i Hatadou Sako (43 procent), spisywały się kapitalnie. Jedną bramkę zespół Arne Senstad stracił nawet grą w przewadze...

Kolejny rywal Polek - Portugalia - po debiucie na Euro 2008 w finałach wystąpi dopiero po raz drugi. To był jednocześnie drugi występ tej ekipy w imprezach najwyższej rangi. Drużyna nie zakwalifikowała się bowiem jeszcze ani na mistrzostwa świata, ani - tym bardziej - na igrzyska olimpijskie...

Na Euro 2024 awansowała jako jeden z najlepszych zespołów, ale... z trzech miejsc eliminacji grupowych, kończąc fazę z dwoma zwycięstwami



Monika Kobylińska jest najskuteczniejszą naszą szczyptornistką na mistrzostwach Europy

nad Finlandią i porażkami z Holandią i Czechami.

W „St. Jakobshalle”, usytuowanej niedaleko Bazylei, która będzie gospodarzem przyszłorocznego Konkursu Piosenki Eurowizji, w składzie naszej drużyny pojawiły się trzecia bramkarka Paulina Wdowiak i rozgrywająca Aleksandra Tomczyk, których zabrakło w pierwszym meczu.

Oznaczało to grę przeciw Portugalcom tylko z jedną nominalną prawoskrzydłową (Magda Balsam).

Minuty mijały, a wynik oscylował wokół remisu. Na boisku było dużo walki. W końcu ciężar zdobywania bramek wzięła na siebie Monika Kobylińska, trafiając trzy razy z rzędu.

51 sekund przed gwizdkiem końcowym nasze szczyptornistki prowadziły jedną bramką. Czas wzięty przez

Arne Senstada nakreślił sposób rozegrania akcji. Aleksandra Rosiak po wznowieniu gry szybko wzbogaciła konto bramkowe. W emocjonującej końcówce Hiszpankom udało się jedynie zmniejszyć rozmiar porażki.

Wygrana (22:21) oznaczała, że Polki zachowały jeszcze szansę na awans do drugiej rundy ME. Warunkiem jest teraz pokonanie Hiszpanii. A rywalkom wystarczy remis...

Paulina Wdowiak zakończyła mecz z 35-procentową skutecznością, co istotnie przyczyniło się do pierwszego zwycięstwa Biało-Czerwonych na „2024 EHF European Women's Handball Championship”.

Rozgrywająca MKS FunFloor Lublin Aleksandra Rosiak oceniła, że spotkanie z Portugalcami nie było „ładnym meczem” w naszym wykonaniu.

- Skuteczność nas trochę zawiodła - tłumaczyła. - Satisfakcjonuje nas to, że wygrałyśmy i mogłyśmy potrenować wyższą strefę w obronie. Spodziewam się, że podobnie będzie wyglądał mecz z Hiszpanią i mam nadzieję, że będziemy jeszcze bardziej zmobilizowane i zagramy jeszcze lepiej.

Z kolei jej koleżanka klubowa, tyle że skrzydłowa - Magda Balsam mimo zwycięstwa przyznała, że mecz z Portugalcami nie był taki, jak by sobie Biało-Czerwone życzyły.

- Z wielką niecierpliwością czekam na spotkanie z Hiszpanią - powiedziała. - Mam nadzieję, że on w końcu pokaże nasze całkowite możliwości.

I my mamy taką nadzieję...

Do kolejnej fazy mistrzostw Europy szczyptornistek awansują bowiem tylko po dwa najlepsze zespoły z każdej z grupy. Trzymamy kciuki. ©©

Trzy medale polskich panczenistek w Pekinie

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

W Pekinie rozegrano drugie w tym sezonie zawody Pucharu Świata w łyżwiarstwie szybkim. Udały występy zaliczyły Andżelika Wójcik i Kaja Ziomek-Nogal i żeńska sztafeta.

W piątek, Andżelika Wójcik zajęła piąte miejsce w biegu na 500 metrów. Polka uzyskała czas 38.00, zwyciężyła Japonka Yukino Yoshida - 37.68. W dywizji B Kaja Ziomek-Nogal była trzecia - 38.55, Martyna Baran czwarta - 38.67, a Karolina Bosiek piąta - 38.83. W rywalizacji mężczyzn Marek Kania zajął ósme miejsce - 34.84, a Damian Żurek był 12. - 34.90. Zwyciężył Amerykanin Jordan Stolz, z czasem 34.27. W dywizji B siódmym był Piotr Michalski - 35.33, a na 19. pozycji uplasował się Jakub Piotrowski - 35.81. W dywizji B kobiet piątą była Natalia Jabrzyk - 1:59.71, 13. Bosiek - 2:00.61, 21. Olga Piotrowska - 2:02.90. Wśród mężczyzn 13. miejsce zajął Żurek - 1:48.29.

Nieudana sobota

W sobotę, Natalia Jabrzyk zajęła 12. miejsce na 1000 metrów. Czasem 1:16.52 poprawiła rekord życiowy. Na 14. miejscu uplasowała się Karolina Bosiek - 1:16.80. Triumfowała Japonka Miho Takagi - 1:14.62. Najlepszy z Polaków Damian Żurek na tym samym dystansie był 13. z czasem 1:09.15, wygrał Amerykanin Jordan Stolz, z czasem 1:07.62. Polacy startowali także w dywizji B.

Na 1000 metrów Andżelika Wójcik zajęła drugie miejsce - 1:17.18, a Martyna Baran była 17. - 1:19.12. W rywalizacji mężczyzn na tym samym dy-

stansie Marek Kania uplasował się na szóstej pozycji - 1:09.72, Piotr Michalski na 10. - 1:10.14, natomiast Jakub Piotrowski na 22. - 1:10.99.

Kaja-Nogal najlepsza

W niedzielę na dystansie 500 metrów Polki zaprezentowały się znakomicie. Wygrała Kaja Ziomek-Nogal, a Andżelika Wójcik uplasowała się na trzeciej lokacie. Ziomek-Nogal uzyskała czas 37.82, Wójcik była gorzej ozaledwie 0.07 sekundy. Polki przedzieliła Suzanne Schulting z Holandii.

W rywalizacji mężczyzn na 500 metrów ósme miejsce z czasem 34.83 zajął Marek Kania. Wygrał Amerykanin Jordan Stolz - 34.39.

Biało-Czerwone bardzo dobrze pobięły także w sztafecie. W składzie Wójcik, Ziomek-Nogal i Bosiek zajęły drugie miejsce z czasem 1:27.07. Wygrały Holenderki - 1:26.35. Trzecie były Amerykanki. Męska sztafeta w składzie Kania, Michalski, Żurek była piątą - 1:19.90. Wygrali Holendrzy - 1:18.35.

Kolejne zawody PS odbędą się dopiero w dniach 24-26 stycznia w Calgary. ©©



W Pekinie Polki startowały z dużymi sukcesami

36-letnia Therese Johaug wróciła w wielkim stylu. W Ruce Polacy nie startowali

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Sezon zimowy ruszył na dobre. Podczas weekendu rozegrano pierwsze zawody Pucharu Świata 2024/2025 w biegach narciarskich, kombinacji norweskiej i saneczkarstwie.

Fin Iivo Niskanen wygrał bieg na 10 km techniką klasyczną w fińskiej Ruce. Drugi był Norweg Harald Oestberg Amundsen, a trzeci jego rodak

Martin Loewstroem Nyenget. Wśród kobiet triumfowała Szwedka Frida Karlsson.

Drugie miejsce zajęła 36-letnia Therese Johaug. Norweżka w 2022 roku zakończyła sportową karierę, ale wróciła we wspaniałym stylu.

Z jedenaście lat młodszą Karlsson przegrała o 46.5 sekundy. Trzecia była Norweżka Astrid Oeyre Slind. Sobotnie sprinty techniką klasyczną wygrali - Szwedka Johanna Hagstroem i Norweg Johannes Hoesflot Klaebo.

Polacy nie startowali. Na 20 km ze startu wspólnego wygrali Jessie Diggins i Oestberg Amundsen.

Niemcy dominują

Obronca trofeum - Jarl Magnus Riiber wygrał w Ruce pierwsze zawody sezonu 2024/2025 Pucharu Świata w kombinacji norweskiej. Norweg wyprzedził Niemców Vinzenza Geigera oraz Juliana Schmid. Sobotnie zawody wygrał Niemiec Johannes Rydbeck. Na podium znaleźli się

ponownie jego rodacy Julian Schmid, a trzeci był Vinzenz Geiger.

Polacy w Finlandii nie startowali. W klasyfikacji generalnej (po 2 z 19 zawodów) trzech pierwszych zawodników ma 170 punktów - Riiber, Geiger i Schmid.

Polacy w „siódemce”

Nikola Domowicz i Dominika Piwkowska zajęły siódme miejsce w rywalizacji saneczkarskich dwójek w inauguracyjnej rundzie Pucharu Świata,

która odbyła się w Lillehammer. Zwyciężyły Amerykanki Cheyenne Rosenthal, trzecie były reprezentantki Łotwy Marta Robezniece i Kitija Bogdanova.

W zmaganiach męskich dwójek Wojciech Chmielewski i Jakub Kowalewski uplasowali się na 12. pozycji. Zwyciężyli Niemcy Toni Eggert i Floriana Mueller. Drugie miejsce zajęli Łotysze Martins Bots i Roberts

Plume, trzecie zdobywczy Krysztalowej Kuli, Austriacy Thomas Steu i Wolfgang Kindl.

W rywalizacji kobiecych jedynie wygrała Niemka Julia Taubitz. Drugie miejsce zajęła Amerykanka Emily Sweeney, trzecie Austriaczka Lisa Schulte. Klaudia Domaradzka była 23.

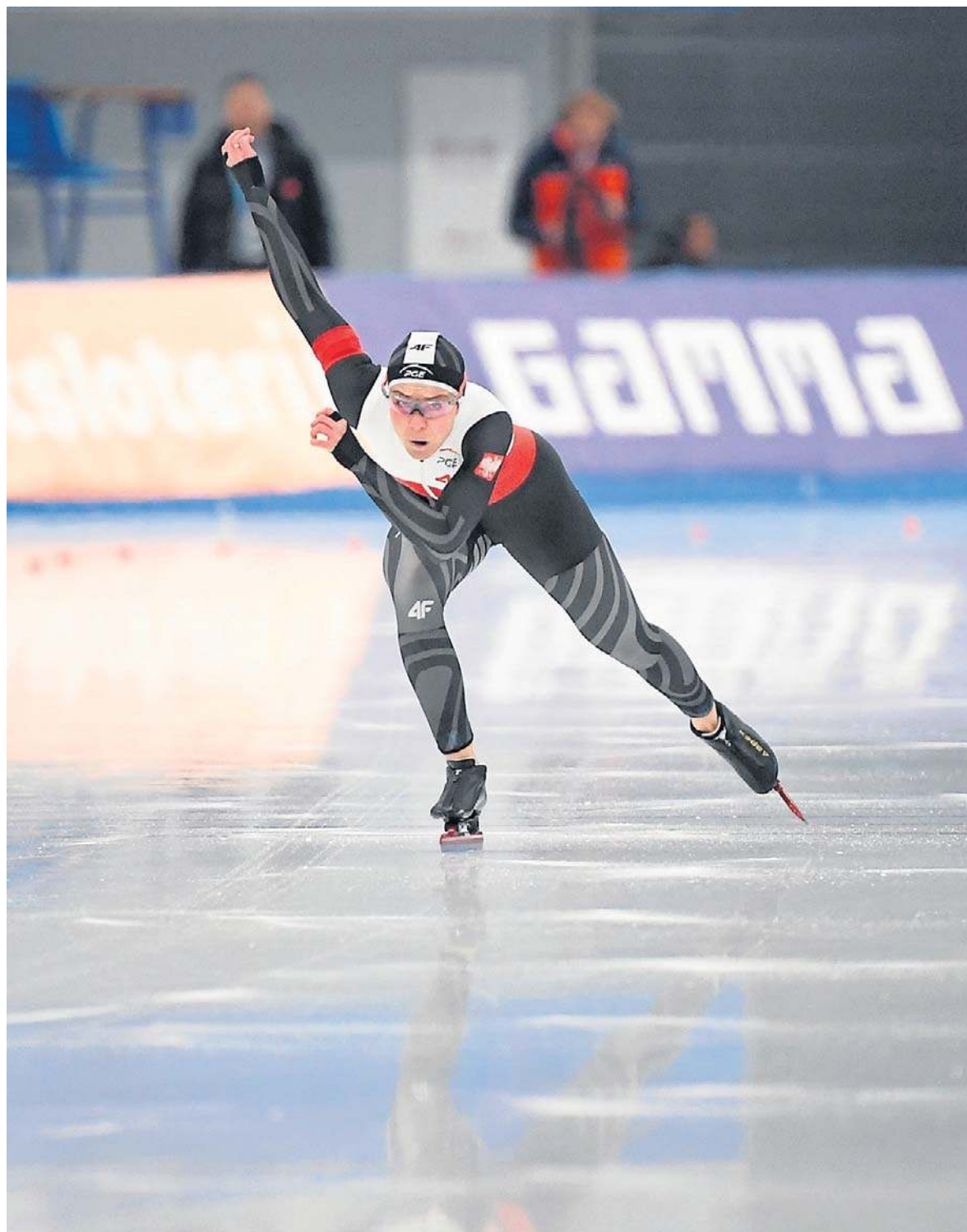
Już w najbliższy weekend, rozpocznie się 41. sezon Pucharu Świata w bobslejach. Rywalizacja rozpocznie się w niemieckim Altenbergu, również z udziałem Polaków. ©©

MAGAZYN

SPORTOWY24

2.12.2024

Mama półtorarocznej Tosi - Kaja Ziomek-Nogal wygrywa zawody Pucharu Świata w łyżwiarstwie szybkim na 500 metrów STR. 23



FOT. JU HUANZONG/XINHUA NEWS/EAST NEWS

Macierzyństwo sprintem pisane

SZCZĘŚCIE RAKOWA I POTKNIĘCIE LECHA. ZA TYDZIEŃ 2. RUNDA EKSTRAKLASY STR. 20

Aleksandra Król-Walas druga w slalomie gigancie równoległym snowboardowego PŚ STR. 22

Musimy ograć Hiszpanki. Dzisiaj mecz o pozostanie w ME szczypiornistek STR. 23

SPORTOWY24.PL